

Seria: *#PragnieniaSerc*

tom 4

JANETTE OKE



*Wiosenna
obietnica*



Psalm18.pl

twoje źródło inspirujących książek

www.wydawnictwo.psalm18.pl

Spis treści

Dedykacja	7
Bohaterowie	9
Rozdział 1 Piękny poranek	11
Rozdział 2 Więzi	19
Rozdział 3 Goście	29
Rozdział 4 Lato	38
Rozdział 5 Ford	46
Rozdział 6 Wizyta	56
Rozdział 7 Zmiany	65
Rozdział 8 Niepokojące myśli	78
Rozdział 9 Rekonesans	87
Rozdział 10 Wiosna	97
Rozdział 11 Przebudzenie	109
Rozdział 12 Zaloty	121
Rozdział 13 Plany	131
Rozdział 14 Nadchodzi niedziela!	142
Rozdział 15 Początki	154
Rozdział 16 Boże Narodzenie	161
Rozdział 17 Zmiany	178
Rozdział 18 Życie toczy się dalej	187
Rozdział 19 Szczęście	197
Rozdział 20 Ciężkie czasy	207
Rozdział 21 Nowy zasiew	215
Rozdział 22 Niegasnąca nadzieja	226
Rozdział 23 Niekończący się wysiłek	236
Rozdział 24 Walka o przetrwanie	252
Rozdział 25 Kolejna wiosna, kolejna nadzieja	264
Epilog	272



Rozdział 1

Piękny poranek

WYSZEDŁEM Z DOMU, pogwizdując. Było jeszcze wcześnie. Niebo zrobiło się już jaśniejsze, ale słońce nadal nie wychyliło się znad linii drzew, która wyznaczała granicę posiadłości Sandersów – nowych sąsiadów w naszej okolicy.

Rozejrzałem się dookoła, oglądając w półmroku poranka okoliczne pola. Pierwsze z nich należało do nas. Chyba zawsze już będę myśleć o farmie jako o *naszej*. Dziadka, wujka Charliego i mojej. Prawda jednak była taka, że teraz ta ziemia należała już tylko do mnie. To dlatego zresztą tak pogwizdywałem. Poprzedniego dnia dziadek i wujek Charlie oficjalnie przekazali mi gospodarstwo. Farma była moja. Joshuy Chadwicka Jonesa, jak mówiły dokumenty. Ciągłe to do mnie nie docierało, ale byłem podekscytowany. Bardzo podekscytowany. Bo w końcu, który chłopak w moim wieku mógł się pochwalić własną, zapisaną na swoje nazwisko ziemią?

Spowaźniałem nieco. Prowadzenie gospodarstwa oznaczało też przecież ogromną odpowiedzialność. To ja musiałem zadbać, by przynosiło zyski. To ja musiałem utrzymać dziadka, wujka Charliego, siebie, naszą gospośnię Mary, a także mieszkającą z nami Matyldę, choć ona akurat płaciła nam za wynajem pokoju.

To ja musiałem podjąć dobrą decyzję na temat tego, jakie zboża zasiejemy i na których polach. To ja ustalałem, które zwierzęta należy zatrzymać, a które sprzedać. To ja szukałem nowych okazów, które miały dołączyć do naszego stada. To ja musiałem naprawiać ogrodzenie, odmalowywać budynki, pracować w ogrodzie, zajmować się sprzętem, usuwać chwasty, odkładać wystarczającą ilość siana na zimę... Lista moich zadań ciągnęła się teraz bez końca. Perspektywa licznych obowiązków nie zdołała jednak przygasić mojego zapału. Byłem dorosłym mężczyzną z własnym gospodarstwem.

Wydłużyłem krok, choć wciąż trochę się ociągałem, rozglądając się na wszystkie strony. Pola, linia drzew, tereny leśne przecinane przez rzekę, pastwisko, i dalej pola Turleyów, Smithów i Sandersów, wzgórze w oddali obok gospodarstwa drugiego pana Smitha, droga do miasta – wszystkie te elementy krajobrazu były mi doskonale znane. I kochałem te okolice bardziej, niż byłbym to w stanie wyrazić słowami.

Moje korzenie sięgały daleko w głąb tej ziemi, którą znałem od małego. To było całe moje życie. Moje poczucie istnienia, świadomości, dorastania i bycia znajdowało się właśnie tutaj, zakopane w glebie, którą miałem pod stopami.

Otworzyłem bramkę na końcu pastwiska i przerwałem gwizdanie, żeby odezwać się do krów. Mała jersey, jeden z moich ostatnich nabytków, delikatnie otarła się o mnie łbem, przechodząc obok. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem ją po szyi. Wydawała się zadowolona. Uśmiechnąłem się. *To naprawdę dobra krowa*, pomyślałem z radością. *Daje najtłustsze mleko, jakie widziałem*. Musiałem jednak przyznać, że była trochę rozpieszczona. Jej poprzedni właściciele traktowali ją jak zwierzę domowe.

Wyprzedziłem krowy, by otworzyć im drzwi do obory. Wiedziałem, że tłoczą się za mną, niecierpliwie czekając, aż w końcu znajdą się w boksach ze świeżą porcją paszy. Chciały też pozbyć się ciężaru napęczniałych wymion, które spowalniały ich chód.

Powróciłem do gwizdania. Po mojej prawej stronie rozległ się śpiew ptaka. Obejrzałem się, by na niego spojrzeć. Siedział wysoko w gałęziach topoli rosnącej przy kurniku, a jego żywa melodia wskazywała na to, że cieszył się pięknem tego wczesnego poranka tak samo jak ja.

Gdzieś z pastwiska Turleyów dobiegło mnie ryczenie krowy, której zaraz odpowiedziała inna. Być może to matka wołała swoje zagubione cielę na śniadanie.

Otworzyłem krowom drzwi, po czym poszedłem do domu po wiadra na mleko. Wiedziałem, że zwierzęta same trafią do swoich boksów i z entuzjazmem zabiorą się za paszę. Dałbym sobie radę z dojeniem bez zamykania boksów, ale i tak za każdym razem to robiłem. Byłem pewien, że krowy nigdzie nie pójda. Ich łby pozostaną między barierkami, a ciała w niemal

całkowitym bezruchu, z wyjątkiem nieustannego machania ogonem i okazjonalnego przesunięcia nogi. Mimo to pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po przyniesieniu wiader, było zamknięcie boksów. Tak jak zawsze. Siła przyzwyczajenia. Postępowałem tak, jak nauczył mnie dziadek.

Wsadziłem stopę pod stołek do dojenia i przysunąłem go sobie nogą. Poczułem łagodne spojrzenie brązowych oczu młodej krowy.

– No co? – zaśmiałem się. – Myślisz sobie pewnie, że jestem zbyt leniwy, żeby się pochylić?

Pogłaskałem jej tułów i usiadłem na stołku. Przebiegłem dłonią po nabrzmiałym wymieniu, opłukałem je i zacząłem delikatnie doić.

– Może masz rację – przyznałem. – Ale muszę oszczędzać energię! Czekam na bardzo pracowity dzień. Dzisiaj zaczynam obsiewanie, kiedy tylko skończę was doić. Pierwszy raz w życiu będę obsiewał *moje własne pole*.

Uśmiechnąłem się i wydobyłem z krowy pierwszy duży strumień mleka, który wkrótce miał wypełnić wiadro pożyw-
nym, ciepłym i delikatnym napojem.

Nie umiałbym wytłumaczyć osobie postronnej, dlaczego rozmawiałem ze zwierzętami. Zrozumiałby to tylko ktoś, kto doi krowy o piątej nad ranem.

Kot mieszkający w oborze zamiauczał, ocierając się o nogawkę moich spodni. Nie byłem pewien, czy mnie w ten sposób witał, czy poganiał. Przerwałem dojenie i wycelowałem wymię na niego, a strumień mleka trysnął w jego stronę. Kot natychmiast przysiadł na tylnych łapach, wymachując

przednimi, jakby chciał złapać każdą kropelkę mleka i skierować do otwartego pyska.

Byliśmy zgranym duetem, ten szary kocur i ja. Ale w końcu ćwiczyliśmy ten numer już od ładnych paru lat. Nie pierwszy raz siedział w oborze, łapczywie żłopiąc mleko tryskające z wymienia wprost do jego pyska.

– Dobrze już, idź sobie – powiedziałem. – Mam dużo pracy. Zaraz dostaniesz swój przydział.

Kot chyba mnie zrozumiał. Oddalił się o kilka kroków i przysiadł na ziemi, dokładnie czyszcząc swój brudny pyszczek.

Dojenie nie zajęło mi dużo czasu. Klepnałem każdą z krów na pożegnanie i ruszyłem do domu z dwoma wiadrami pełnymi mleka. Musiałem jeszcze wrócić po trzecie, które wisiało teraz wysoko na haku, poza zasięgiem kotów.

W kuchni, pomimo wczesnej godziny, krzątała się już Mary. Miałem wrażenie, że jej oczy zalśniły jakimś wyjątkowym blaskiem, ale może tylko to sobie wyobraziłem. Byłem taki zadowolony z życia, że nawet na świat patrzyłem zupełnie inaczej.

Przy drzwiach czekała na mnie Pixie. Ocierała się o moje nogi, domagając się uwagi. Schyliłem się, by podrapać jej miękkie, aksamitne ucho. Nie była już szczeniakiem, którego kiedyś tak bardzo pokochałem. Jak na psa była już dość stara. Gdy wychodziłem rano z łóżka, zostawała na posłaniu, zwinięta w kulkę. Nie miałem nic przeciwko temu. Głaskałem jej sierść, a ona w odpowiedzi lizała moją rękę.

– Dzień dobry, Josh – przywitała mnie wesoło Mary. Nie

czekała na moją odpowiedź. – Ojej, ale wcześnie wstajesz. Jakim cudem w ogóle coś widzisz w tej oborze?

– Czekałem, aż zrobi się trochę jaśniej – odparłem z uśmiechem. – Przynajmniej na zewnątrz. W oborze jest ciemniej, ale znam ją na tyle dobrze, że potrafię wszystko znaleźć nawet bez światła.

Mary uśmiechnęła się, dodając blasku do budzącego się poranka.

– Chcesz zjeść wcześniej? – zapytała.

– Mam jeszcze trochę pracy.

Mary zerknęła na zegar, a moje spojrzenie powędrowało za jej oczami.

– Choć i tak zdążę przed resztą – przyznałem. – Chcę się zabrać za sianie tak wcześnie, jak to możliwe.

– Przygotuję ci śniadanie – powiedziała ruszając w stronę spiżarni.

– Dziękuję. Nie chciałbym robić kłopotu, ale jestem taki podekscytowany...

Nie musiałem nawet tłumaczyć. Mary zawiązała fartuszek wokół swej szczupłej talii i nawet na mnie nie zerkając rzekła:

– W czasie zasiewu czy żniw mężczyzna nie chce marnować czasu na chodzenie od swojego pola do domu i z powrotem. Wcześniejsze śniadanie nie jest żadnym problemem. A nie ma powodu, żebym budziła pozostałych.

Nie mogłem nie zwrócić uwagi na słowa Mary. „Mężczyzna”. „Swoje pole”. Na ich dźwięk moje serce zaczęło bić trochę szybciej. Później jednak pomyślałem o dziadku – starym i zmęczonym po wielu latach pracy na farmie – i o dotkniętym

przez reumatyzm wujku Charliem. Ze smutkiem zadałem sobie pytanie, czy w ogóle udaje mu się przespać noc. Zacząłem też zastanawiać się nad Matyldą. W szkole odbywały się teraz egzaminy i wiedziałem, że przez ostatnie dni do późnego wieczora zajmowała się ocenianiem testów. Skinąłem głową, zgadzając się z Mary. Każde z nich potrzebowało się wyspać.

– Skończę za jakieś pół godziny – oznajmiłem i podniosłem wiadro z mlekiem, by przelać je do wirówki.

– Idź już – powiedziała Mary. – Ja się tym zajmę.

Spojrzałem na nią uważnie, choć nie zdziwiło mnie, że zaoferowała swoją pomoc. To nie był pierwszy raz. Odwzajemniła spojrzenie nie spuszczać wzroku i zrozumiałem, że chce już na stałe przejąć tę pracę.

– Przynajmniej wleję mleko – nalegałem. – Te wiadra są naprawdę ciężkie.

Mary nie oponowała. Obserwowała strumień mleka wpadający do miski w wirówce.

– Od nowej krowy? – zapytała, nie czekając jednak na odpowiedź. – Wygląda wspaniale. Tylko pomyśleć, jakie wyjdzie z tego masło!

Wiedziałem, że Mary się uśmiecha, chociaż wlewając mleko nie mogłem na nią spojrzeć. Postawiłem wiadro pod wirówką i pospieszyłem do swoich zajęć. W drodze powrotnej do obory zatrzymałem się na chwilę przy traktorze, by pogłodzić jego lśniący błotnik. Nie mogłem się doczekać, by do niego wsiąść i wyjechać na pole. Wyobrażałem sobie, jak jeżdżę tam i z powrotem, zostawiając w ziemi nasiona, które dadzą obfity plon. Podniosłem wzrok ku niebu i wezbrała we

mnie modlitwa dziękczynienia. Nie jestem pewien, ale może się nawet nieco wzruszyłem.

Wreszcie wróciłem do pracy i zacząłem gwizdać melodię z dzieciństwa. Często ją nuciłem, jednak tym razem towarzyszące jej słowa nabrały jeszcze głębszego znaczenia: „*Chwała Bogu, od którego pochodzą wszystkie błogosławieństwa...*”.



Rozdział 2

Więzi

TEGO WIECZORA ZSZEDŁEM Z TRAKTORA zesztywniały i wyczerpany z wysiłku. Słońce znikło już na zachodnim niebie i zaczęło się robić chłodno. W końcu wiosna dopiero się zaczynała. Spędziłem na traktorze niemal cały dzień. Mary przyniosła mi obiad i popołudniową przekąskę, żebym nie musiał tracić czasu na powrót do domu. Wygodniej było jeździć bez koni, które potrzebowałyby odpoczynku. Traktorowi nie przeszkadzały długie godziny pracy, choć ja od czasu do czasu musiałem się zatrzymać, żeby dolać do niego paliwa.

Ból nóg i pleców początkowo mnie zaskoczył, ale potem przypominałem sobie, że przez ostatnie kilkanaście godzin moje ciało obijało się i podskakiwało w jeżdżącym po nierównościach pola ciągniku. Zawsze potrzebowałem kilku dni, żeby się do tego przyzwyczaić.

Ruszyłem w stronę zapachu wołowej pieczeni, choć moje stopy nie posuwały się tak prędko, jak chciał tego brzuch. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki jestem głodny, dopóki nie dobiegł mnie aromat kolacji.

– Kończysz już wreszcie? – zapytała Matylda życzliwie.

Wchodziłem na ganek, próbując jakoś ukryć zesztywnienie w mięśniach. Matylda siedziała na huśtawce z kubkiem herbaty w rękach.

– Już się bałam, że nigdy nie zjemy – ciągnęła. – Mary nie pozwoliła mi na nic poza herbatą.

Zatrzymałem się w pół kroku.

– Dlaczego? – zapytałem zdziwiony.

Mary nie należała do osób, które komukolwiek szczędyłyby jedzenia.

– No cóż – zaśmiała się Matylda. – Pewnie trochę przesadziłam. Tak naprawdę Mary nie miałaby nic przeciwko, żebyśmy zaczęli kolację bez ciebie, ale wszyscy woleliśmy poczekać.

– Przepraszam – zacząłem. – Gdybym wiedział...

Matylda mi przerwała.

– Wiemy, jak ważne jest obsianie pól. Nic się nie stało.

Wstała i pociągnąwszy mały łyk herbaty, spojrzała na mnie z błyskiem w oczach.

– Naprawdę! – powiedziała szczerze, a ja jej uwierzyłem.

Otworzyłem jej drzwi i wszedłem za nią do izby wypełnionej aromatem jedzenia. Dziadek czytał gazetę w swoim ulubionym krześle obok okna. Wujek Charlie siedział natomiast na kanapie przy zachodniej ścianie, delikatnie masując swoje powykrzywiane dłonie. Domyśliłem się, że znów go bolały.

Kiedy tylko poczuł na sobie moje spojrzenie, przestał i położył ręce na kolanach.

Mary stała przy kuchence, nakładając jedzenie do misek. Odwróciła się, rzuciła mi szybkie spojrzenie przez ramię i lekko się uśmiechnęła. Miałem wrażenie, że o coś zapyta, ale tego nie zrobiła. Przynajmniej nie na głos. Może znalazła odpowiedź w tym, co zobaczyła. Sam nie wiem. Uśmiechnęła się jeszcze raz i odwróciła się z powrotem do kuchenki.

– Podam kolację, jak tylko się umyjesz, Josh – powiedziała.

Podszedłem do zlewu w rogu kuchni i zobaczyłem, że ktoś napełnił już miednicę ciepłą wodą. Nie wiedziałem, kto się tym zajął, ale z wdzięcznością pomyślałem, że dobrze tu o mnie dbają.

Szybko doprowadziłem twarz i ręce do stanu, w którym mogłem zasiąść przy stole. Gdy odwiesiłem ręcznik, cała rodzina była już gotowa do kolacji. Zająłem swoje miejsce i pochyliłem głowę, a dziadek zaczął odmawiać modlitwę. Potem zajęliśmy się nakładaniem sobie na talerze z wypełnionych po brzegi misek.

– Jak idzie, chłopcze? – odezwał się do mnie dziadek.

Ciągle nazywał mnie chłopcem. Dla niego chyba zawsze miałem nim być. Nieważne, że byłem już dorosły i posiadałem własne gospodarstwo. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało, ale raczej dawało poczucie przynależności.

– Dobrze – odparłem pomiędzy kęsami świeżego chleba.

– Traktor dobrze się sprawuje?

Skinąłem głową, ponieważ moje usta były zbyt pełne, by odpowiedzieć.

Wujek Charlie pociągnął duży łyk kawy.

– Ten hałas musi doprowadzać cię do szaleństwa – narzekał. – Ja wolałbym chyba obsiewać z końmi.

Uśmiechnąłem się. Wujek Charlie z trudem przyzwyczajał się do sprzętów, które działały bez pomocy czworonożnych zwierząt. Przełknąłem, żeby móc normalnie rozmawiać.

– Jest głośny, ale też o wiele szybszy. I nie muszę mu robić przerw na karmienie czy odpoczynek.

Wujek Charlie zachichotał.

– Obserwowałem cię dziś, Josh – przypomniawszy – i wydaje mi się, że parę razy i tak musiałeś się zatrzymać, żeby nakarmić ten żelazny żołądek.

Zaśmiałem się. Miał rację.

– Myślę, że spodobałaby mi się jazda traktorem – stwierdziła Matyllda, a ja znów wybuchnąłem śmiechem na myśl o tak drobnej kobiecie siedzącej w tak wielkiej maszynie.

Matyllda musiała źle zrozumieć moje rozbawienie, bo uparcie wysunęła podbródek do przodu.

– Dałabym sobie radę – obstawała przy swoim. – Na pewno tak. Wystarczy tylko nadepnąć na to... to coś i czasami poruszać dźwignią, no i obracać kierownicą, żeby traktor jechał tam, gdzie chcesz.

Teraz śmiał się także i dziadek.

Matyllda spojrzała na Mary.

– Mogłybyśmy prowadzić traktor, prawda, Mary?

Mary poruszyła się niespokojnie.

– Ja... sama nie wiem. To znaczy... Myślę, że lepiej zostawić go Joshowi.

Jej oczy spotkały się z moimi. Zanim spuściła głowę zauważyłem, że jej policzki zalał delikatny rumieniec. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego nie potrafiłbym wytłumaczyć, miałem wrażenie, że komentarz Mary był komplementem. Mary często tak na mnie wpływała. Wystarczyło jedno jej spojrzenie albo słowo, żebym poczuł się jak mężczyzna – w pełni sił i władzy. Poczułem, że sam się rumienię.

– Któregoś dnia... – zaczęła Matylda. Popatrzyłem na nią, czekając na ciąg dalszy. Miałem nadzieję, że uda mi się z nią trochę podroczyć. Matylda nie odpowiedziała jednak na moje spojrzenie i nie odezwała się już więcej.

Na deser był pudding chlebowy, jeden z moich ukochanych przysmaków. Mary zwieńczyła całość gęstą bitą śmietaną. Byłem pewien, że to z mleka naszej nowej krowy.

Po zjedzeniu solidnej porcji niechętnie odsunąłem się od stołu i powoli wstałem. Wujek Charlie wstał razem ze mną. Wiedziałem, że chce pomóc Mary w myciu naczyń.

– Ja się tym zajmę, wujku Charlie – powiedziała Matylda.

Nie było nic dziwnego w tym, że nazwała go wujkiem Charliem. Obie z Mary tak na niego mówiły; tak samo tytułowały też mojego dziadka. I wydawało się, że wszyscy są z tego zadowoleni. Nie traktowaliśmy dziewcząt jak pracownicy i lokatorki. Były dla nas jak rodzina. Tym, co mnie jednak zaskoczyło, była sama propozycja Matyldy. Oczywiście Matylda często pomagała Mary w obowiązkach domowych, lecz ostatnimi czasy nie robiła nic innego poza poprawianiem klasówek i przygotowywaniem lekcji.

– A co z testami? – zapytałem.

– Skończone! Nareszcie! I uwierzcie mi, że mam ochotę świętować.

Matylda obróciła się dookoła, wprawiając swoją długą, rozkloszowaną suknię w ruch. W jednej ręce trzymała miskę z cukrem, a w drugiej dzbanuszek do śmietanki.

Wujek Charlie spojrzał na nią z błyskiem w oku.

– Wydaje mi się, że mogłabyś wymyślić jakiś lepszy sposób na świętowanie niż taniec z cukrem i śmietaną – droczył się.

– Tak, ale Josh jest zawsze zbyt zajęty, żeby świętować – rzuciła Matylda, udając rozczarowanie. Popatrzyła na mnie, przesadnie trzepocząc długimi, ciemnymi rzęsami.

Cała kuchnia wypełniła się śmiechem. Żarty Matyldy zawsze przyprawiały nas o wesołość, jednak z jakiegoś powodu tym razem nie było mi do śmiechu. Nie wiedziałem dlaczego, ale poczułem się nieswojo i sięgnąłem po kurtkę wiszącą na haku obok drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał wujek Charlie. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że mruga w kierunku Matyldy. – Znów idziesz nakarmić traktor?

– Mam jeszcze trochę pracy – odparłem tak spokojnie jak potrafiłem.

– Wszystko już zrobione, chłopcze – wciął dziadek.

Stałem w miejscu z ręką wyciągniętą w stronę wiszącej kurtki, patrząc po kolei na twarze zgromadzonych w kuchni osób. Wszyscy wydawali się tacy weseli i nie byłem pewien, czy mówią poważnie, czy sobie ze mnie żartują. Spojrzałem na Mary, by dostać jakąś odpowiedź. Ona tylko skinęła głową na potwierdzenie.

– Wszystko? – musiałem się upewnić.

– Wszystko – powtórzył dziadek.

W pierwszym momencie chciałem zaprotestować. W końcu to była moja farma. Sam potrafiłem się nią zająć. Potem jednak zdałem sobie sprawę z tego, jakie głupie było to myślenie. I jaki byłem zmęczony. Opuściłem rękę, która wcześniej sięgała po kurtkę. Odwróciłem się i uśmiechnąłem do towarzystwa.

– Dziękuję – powiedziałem po prostu, delikatnie wzruszając ramionami. – Nie wiem, kto to zrobił, ale dziękuję.

– Każdy z nas – zdradził dziadek. – Trochę tu, trochę tam, każdy się przyłożył i wszystko było gotowe w mgnieniu oka.

– Dziękuję – powtórzyłem.

– Więc widzisz – powiedziała Matylda, znów trzepocząc rękami – masz czas, żeby świętować.

Teraz byłem już gotowy na wyzwanie.

– Dobrze – odparłem – warcaby. Zaraz po naczyniach.

Sięgnąłem po ręcznik i stanąłem obok Mary.

– Ja będę wycierał, ty odkładaj – odważyłem się rozkazać Matyldzie.

– Warcaby? – powtórzyła Matylda. – Nie jest to może przyjęcie z prażoną kukurydzą i ciastem, ale chyba będzie musiało mi wystarczyć.

Przy akompaniamencie w postaci śmiechu dwóch staruszków podeszła szybkim krokiem, żeby ustawić się w gotowości do odkładania naczyń na miejsca.

Kiedy ostatni talerz trafił już na półkę, Matylda i ja rozłożyliśmy planszę do warcabów, a Mary zajęła się robótką

ręczną, którą zwykła wyciągać w każdej – jak to nazywała – *wolnej chwili*. Dziadek i wujek Charlie pootwierali gazety. Nie byłem pewien, czy dostali nowe, czy są tak zainteresowani starymi, ale nie pytałem. Z komody obok popłynęły chrapliwe dźwięki radia. Cieszyłem się cichą muzyką, choć nie interesowały mnie komentarze, które ją przerywały.

Z łatwością pokonałem Matyldę w warcaby. Matylda była bardzo inteligentna i mogłaby być świetną zawodniczką, gdyby tylko potrafiła się zdobyć na odrobinę cierpliwości. Dla niej gra była zabawą, a nie wyzwaniem, dzięki czemu okazałem się zwycięzcą trzech partii z rzędu. Po wygranej wstałem, przeciągając się.

– Takie świętowanie wystarczy jak na jeden wieczór? – dokuczałem jej.

– Może być – odparła, przechylając głowę, przez co jej podpięte loki podskoczyły. – Jednak następnym razem będę nalegała na partyjkę krokieta.

Matylda była mistrzynią krokieta. Zawsze liczyłem na to, że będzie grała w parze ze mną. Teraz tylko się uśmiechnąłem, aby ukryć ziewnięcie.

Mary odłożyła swoją robótkę na bok.

– Może chcesz coś do picia albo jedzenia przed snem, Josh? – zapytała, od razu wstając z siedzenia i idąc w kierunku kredensu.

– Nie, dziękuję. To był długi dzień. Chyba pójdę już do łóżka.

Wypowiadając te słowa, zdałem sobie sprawę, że dzień był tak samo długi i wyczerpujący dla Mary.

– Ty też pewnie jesteś zmęczona – powiedziałem, obserwując wyraz jej twarzy. – Jesteś na nogach przynajmniej tyle co ja.

Mary zignorowała mój komentarz i nastawiła kawę dla dziadka i wujka Charliego.

Dziadek z szelestem odłożył na bok gazetę i zdjął okulary.

– Jadę jutro do miasta – zwrócił się do mnie, składając okulary i odkładając je na komodę obok trzeszczącego radia. – Potrzebujesz czegoś?

Próbowałem się zastanowić, ale jakikolwiek wysiłek umysłowy przychodził mi teraz z trudem. Wreszcie potrząsnąłem głową.

– Jeśli coś mi się przypomni, zostawię ci kartkę na stole – obiecałem. – Teraz niczego nie mogę wymyślić.

– A ty, Mary? Przygotowałaś mi listę zakupów? – dopytywał dziadek. – Chyba, że wolisz ze mną pojechać i sama popatrzeć?

Stałem w miejscu na tyle długo, żeby zobaczyć, jak Mary powoli kręci głową.

– Przejazdźka do miasta i z powrotem zajmie zbyt dużo czasu – powiedziała. – Zrobię listę.

Ruszyłem na schody, jednak po trzech krokach odwróciłem się z powrotem w stronę kuchni.

– Tak sobie myślę – zacząłem na wpół żartobliwie. – Może po żniwach moglibyśmy sobie sprawić samochód? Wtedy droga do miasta trwałaby o wiele krócej.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie tego, co zobaczyłem. Dziadek uniósł swoje krzaczaste brwi i popatrzył na mnie, jak gdyby chciał sprawdzić, czy mówię

poważnie. Wujek Charlie przestał pocierać powykręcane palce i gapił się na mnie z otwartymi ustami. Mary zatrzymała się w pół kroku z dzbankiem kawy w ręce wyciągniętej w kierunku kuchenki. Jedynie Matylda zdołała się odezwać.

– Tak! – wykrzyknęła po prostu. Za chwilę klasnęła w dłonie i rzuciła się w moją stronę. – Och, tak, Josh!

Jej policzki były zarumienione, oczy błyszczące.

– Kupmy samochód, Josh! – Przytuliła mnie z takim impetem, że niemal straciłem równowagę.

– Dobrze, już dobrze – przerwałem, uwalniając się z jej ramion. – Powiedziałem tylko „może”. I to po żniwach. A teraz dopiero zasiewam, pamiętasz? Jeszcze długo na ten samochód poczekasz.

Matylda cofnęła się, ale jej oczy nadal lśniły. Jeszcze raz klasnęła w dłonie, jak gdybym w ogóle jej nie zniechęcił.

– I to się nazywa świętowanie, Josh! – wykrzyknęła z przejęciem.

Rozejrzałem się po pokoju. Mary w końcu odstawiła dzbanek na kuchenkę. Wujek Charlie zamknął usta i teraz żuł końcówkę wąsa, a brwi dziadka wróciły na swoje miejsce.

Nonszalancko wzruszyłem ramionami.

– Tak sobie tylko myślałem – zakończyłem niezdarnie, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, po czym udałem się do sypialni.



Rozdział 3

Goście

WIOSENNY ZASIEW POWOLI posuwał się do przodu. Traktor radził sobie bardzo dobrze. Tylko czasami musiałem coś w nim naprawiać. Cała rodzina pomagała mi wieczorami przy pracach na farmie. Spowolnił mnie jedynie deszcz, który i tak padał tylko przez kilka dni. Akurat tyle, ile potrzebowałem, żeby trochę odpocząć i wykonać parę drobnych napraw.

Matylda ciągle nagabywała mnie o ten nowy samochód. Zaczynałem żałować, że w ogóle o nim wspomniałem. Jej entuzjastyczne argumenty przemawiające za zakupem mogły jednak znacząco wpłynąć na decyzję dziadka i wujka Charliego. Tak naprawdę żaden z nich nie wyraził sprzeciwu, no i wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na to, co przyniosą żniwa.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy skończyłem obsiewać pola, nadszedł też koniec roku szkolnego. Matylda znów wróciła do rodzinnego domu.

– Och, Josh – wzdychała przed wyjazdem – nie mogę się już doczekać jesieni. I samochodu! Będzie wspaniale!

Wydała z siebie dziwny dźwięk – coś na kształt jęku i westchnienia.

– Niczego nie obiecuję – przypomniałem jej. – Powiedziałem tylko, że się nad tym zastanawiam.

– Wiem, wiem. Ale to będzie takie cudowne!

Najwyraźniej Matylda nie dopuszczała do siebie myśli, że możemy jednak nie kupić tego auta, a ja nie chciałem się z nią kłócić.

Jak zwykle, jej pożegnanie z Mary było dość wylewne. Dziewczęta zżyły się jak siostry i bardzo za sobą tęskniły podczas wakacji.

– Będzie mi jej brakowało – szepnęła Mary po wyjeździe Matyldy, ukradkiem ocierając policzek chusteczką.

– Lato prędko minie – próbowałem ją pocieszyć.

– W domu jest zawsze tak... tak cicho, kiedy jej nie ma – odparła.

Bez entuzjazmu Matyldy dom rzeczywiście wydaje się pusty, zgodziłem się w duchu.

– Będiesz miała sporo pracy w ogródku – przypomniałem Mary.

Skinęła głową, a po chwili ciszy dodała z nadzieją:

– Może Lou pozwoli Sarze do nas na trochę przyjechać. Sara mówi prawie tak dużo jak Matylda.

– Może na parę dni – odpowiedziałem. – Lou potrzebuje, żeby Sara pomagała jej w domu i w opiece nad młodszymi braćmi.

– Masz rację. Lou potrzebuje jej bardziej niż ja. To było egoistyczne z mojej strony... – odezwała się Mary poważnym tonem, jak gdyby mówiąc do samej siebie.

– To nie było egoistyczne – przerwałem jej. – Wszyscy chcemy, żeby do nas przyjechała. Dziadek, wujek Charlie i ja.

– Może wzięlibyśmy też Jona? – rozpromieniła się Mary. – Wtedy Lou zostałaby tylko z niemowlakiem.

Nie byłem pewien, czy Mary rzeczywiście spodobałoby się zajmowanie żywiołowym Jonem, gospodarstwem i ogrodem. Już miałem o tym wspomnieć, jednak Mary położyła dłoń na moim ramieniu, jak gdyby czytała mi w myślach.

– Nie będzie tak źle. Sara będzie mi pomagać z Jonem, a na farmie jest wiele atrakcji i możliwości do zabawy dla małego chłopca. Warzywa jeszcze nie wyrosły na tyle, żeby je zbierać i robić przetwory. No i Jon nie jest znów aż takim łobuziakiem. – Ostatnie zdanie dodała z powątpiewaniem. – Poza tym – dorzuciła od razu – w domu robi się tak...

Spojrzałem na małą dłoń na moim ramieniu. Nie potrafiłem sprzeciwić się Mary, ale nie rozumiałem, jak mogła sądzić, że Jon nie będzie sprawiał kłopotu.

– Dzięki nim lato upłynie o wiele szybciej – dokończyła niepewnie.

– Może na początek spróbujemy na dzień lub dwa? Zobaczysz, czy nie będzie ci za ciężko – zaproponowałem.

Uśmiech Mary świadczył o tym, że była zadowolona z mojej dyplomatycznej zgody. Nie chodziło o to, że Jon był niegrzecznym chłopcem. A już na pewno nie o to, że go nie kochałem. Problem polegał na tym, że Jon był jednym z najbardziej

ruchliwych i ciekawskich dzieci, jakie w życiu poznałem. Jego nieustanne ruszanie wszystkiego i wtykanie wszędzie nosa nieuchronnie przysparzało różnych kłopotów.

– Trzeba go będzie trzymać z dala od traktora – dodałem dość stanowczo, mając w pamięci jego ostatnią przygodę z maszyną, która skończyła się tak, że napełnił bak na benzynę błotem.

Mary tylko pokiwała głową.

– Porozmawiam z Lou, kiedy będę w mieście – obiecała. Mimowolnie pomyślałem sobie, że krótka rozłąka z Sarą i Jonem będzie dla cioci Lou miłą odmianą.

Mary jak powiedziała, tak zrobiła. Umówiła się z Lou i jeszcze przed końcem tygodnia zabrała Sarę i Jona na farmę. Sara naśladowała Mary we wszystkim. Pomagała piec chleb, ubijać masło i prać ubrania. Zajmowała się nawet trochę pieleniem – choć poza chwastami wyrwała też kilka marchewek i rzep – oraz myciem naczyń, które w praktyce polegało na tym, że częściej bawiła się w wodzie niż szorowała talerze i garnki. Mimo to Sara bardzo dobrze odnajdywała się w naszej codzienności na farmie i wszyscy cieszyliśmy się jej gadatliwym i wesołym usposobieniem.

Dziadek i wujek Charlie robili wszystko, żeby zająć czymś małego Jona. Strugali dla niego gwizdki i proce, dawali mu wędki, a nawet znaleźli mu do zabawy kotka. Jon jednak bezustannie im się wymykał i sam szukał sobie rozrywek. W ciągu tych kilku dni, które u nas spędził, narobił sporo zamieszania i szkód. Nie z premedytacją, po prostu chciał pomagać. Wylał wodę kurczakom i napełnił im miski sianem, bo uważał, że

wyglądały na głodne. Przywiązał podwórkowego psa do drzewa tyloma supłami, że dziadek spędził pół dnia na odwiązywaniu liny. Jon bał się, że Fritz wpadnie pod koła traktora. Potem trafił kamieniem we frontowe okno, choć nie wolno mu było bawić się procą koło domu. Utrzymał, że wystrzelił z niej niechcący. Zerwał cały koszyk malutkich, zupełnie niedojrzałych jabłek, bo chciał tylko pomóc Mary w pieczeniu szarlotki. Raz poszedł do kurnika i nazbierał kilka tuzinów jajek, które później rzucał stojącej w zagrodzie obok starej maciorze. Miał nadzieję, że uda mu się nauczyć ją łapania jedzenia w powietrzu, tak jak robiła to Pixie.

Najgorsze zdarzyło się jednak, kiedy zgarnął atrament z biurka Matyldy i zakradł się razem z nim w stronę nic nie podejrzewającego Chestera. Wdrapał się na ogrodzenie i rozlał atrament po całym grzbiecie konia. Później tłumaczył, że chciał zrobić mi niespodziankę, żebym miał pięknego łaciatego konia – takiego jak widział kiedyś w książce.

Tego wieczora zwołaliśmy naradę rodzinną. Ja byłem gotów odesłać Jona do domu, ale Mary upierała się, że wcale nie jest taki niegrzeczny i że potrzebuje się nauczyć życia na farmie. Dziadek stanął po jej stronie. Jak miał się nauczyć, co mu wolno, a czego nie, jeśli nie damy mu szansy? Ostatecznie czteroletni Jon został z nami, choć narzuciliśmy mu jeszcze więcej zasad i staraliśmy się lepiej go pilnować.

Pewnego popołudnia Jon przyszedł do mnie, gdy naprawiałem ogrodzenie na pastwisku za domem.

– Cześć, wujku – przywitał mnie ciepło. Spojrzałem w jego jasne oczy i na brązową czuprynę.

– Cześć, kolego – rzuciłem ostrożnie. – Mary wie, że tu jesteś?

Jon w odpowiedzi podniósł czerwone wiaderko, które trzymał w ręce, tak wysoko, jak pozwalało mu na to jego krótkie ramię.

– Przyniosłem ci coś do picia – oznajmił. – Chcesz?

Było gorąco i bardzo chciało mi się pić. Otarłem pot z czoła i sięgnąłem po wiaderko.

– Ciocia Mary powiedziała, że pewnie chcesz się napić – ciągnął Jon. Lou kazała dzieciom nazywać Mary „ciocią”, na znak szacunku.

Zerknąłem na dom. Był na tyle blisko, że sam mógłbym przynieść sobie coś do picia. Może Mary stwierdziła, że drobne zadanie i spacer wyjdzie chłopcu na dobre. Usiadłem na trawie i posadziłem sobie Jona na kolanach, jedną ręką podtrzymując wiaderko.

– Gdzie Mary? – zapytałem, oglądając smugi brudu na jego twarzy i rękach.

– Zajęta jakąś robotą – odpowiedział.

– Dlatego ty przyniosłeś mi picie?

Skinął głową.

– To bardzo miło z twojej strony – pochwaliłem go. – Dziękuję.

Dotknąłem wiaderkiem do ust. Woda nie była tak zimna, jak zwykle po zaczerpnięciu ze studni. Zacząłem się zastanawiać, ile czasu Jon potrzebował, żeby do mnie dotrzeć. Najważniejsze jednak, że przyniósł cokolwiek. Wziąłem kolejny łyk.

– Co dziś porabiałeś? – zapytałem.

Jon myślał chwilę, zanim odpowiedział.

– Pomogłem dziadkowi pielić ogródek – odparł rozpromieniony. Za chwilę jednak odezwał się poważniejszym tonem: – Ale potem dziadek powiedział, że już wystarczy i odesłał mnie z powrotem do cioci Mary.

Zmierziłem jego włosy.

– Dlaczego tak powiedział? – dopytywałem. – Chwasty pomieszały ci się z warzywami?

Jon skinął głową, zamyślony.

– Chyba z groszkiem – przyznał posępnie. Musiałem ukryć uśmiech.

– Potem przyniosłem ubrania dla cioci Mary. Ale znów musiała je wynieść. Okazało się, że nie były jeszcze suche – stwierdził, wzruszając swoimi małymi ramionami. – Chociaż tyle, że ciocia Mary nie była zła. Po prostu zawiesiła ubrania z powrotem.

Spuścił wzrok, po czym spojrzał na mnie posyłając szeroki uśmiech, który wskazywał na to, że wszystko było w porządku.

– A niektóre z nich wyprała drugi raz i dopiero wtedy zawiesiła z powrotem.

Biedna Mary. I tak miała już wystarczająco dużo pracy bez kolejnego prania.

– Właśnie idzie! – wykrzyknął radośnie Jon, wskazując na budynki gospodarcze.

Miał rację. W naszą stronę zmierzały Mary i Sara.

– Coś ci przyniosłyśmy, wujku – zawołała Sara z daleka.

Spojrzałem na mały pojemnik w dłoniach Sary, a potem zerknąłem na Mary. Obie wydawały się zadowolone z siebie.

– Mam zgadywać? – zapytałem Sarę.

Zdyszana dziewczynka wreszcie do nas dotarła.

– To coś do picia – oznajmiła z dumą.

– Do picia? To miłe. Ale Jon – znów zmierzwiłem włosy chłopca – już coś mi przyniósł. Choć drugi raz nie zaszkodzi...

Urwałem. Wzmianka o napoju przyniesionym przez Jona sprawiła, że Mary pobladła i zakryła dłonią usta, wbijając wzrok w czerwone wiaderko na ziemi.

– Coś nie tak? – zapytałem, ale to Sara udzieliła mi odpowiedzi. Tyle tylko, że nie zrobiła tego wprost.

– W tym?! – wykrzyknęła, wskazując palcem na czerwone wiaderko na trawie.

Zanim zdążyłem zareagować, Sara kontynuowała:

– Jon przeszkadzał dziadkowi podczas pracy w ogrodzie, więc dziadek kazał mu podlać kwiaty.

Nie brzmiało to wcale tak źle. Nie miałem nic przeciwko picciu wody, która była przeznaczona dla kwiatów. Mary nadal była jednak blada i prawie w ogóle się nie odezwała.

– Och, Joshua! – jęknęła tylko.

– Ale Jon nabierał wodę z koryta!

Poczułem, że mój żołądek się buntuje. Przez chwilę miałem nawet wrażenie, że zwymiotuję. Myśl o wodzie, do której pluły i parskaly zwierzęta, napawała mnie wstrętem. Spojrzałem na przerażoną i pobladłą Mary. Nagle jednak zdałem sobie sprawę, jak zabawna była cała ta sytuacja. Porwałem Jona w ramiona i zacząłem go łaskotać, cały czas się przy tym śmiejąc. I nie jakoś tam po cichu, pod nosem – to był pełny, głośny śmiech. Twarz Mary przybrała swój naturalny kolor.

Widziałem, że sama próbowała ukryć rozbawienie, lecz kiedy tylko na nas zerknęła, wybuchnęła takim samym śmiechem jak ja. W końcu aż rozbolał mnie od tego brzuch.

Kiedy wreszcie się opanowaliśmy, usiedliśmy na trawie i podzieliliśmy się chłodną lemoniadą przyniesioną przez Sarę i Mary.

– Myślę, że skoro piję to samo, co krowy i konie, to my też możemy napić się z jednego kubka – rzuciłem, znów zanosząc się śmiechem.

– Mamy też ciasteczka – poinformowała mnie Sara, jak gdyby to była bardzo ważna wiadomość. Myślę, że chciała mnie trochę uspokoić. Nie rozumiała chyba, dlaczego to wszystko tak mnie bawiło. Spróbowałem równie poważnej odpowiedzi.

– Ciasteczka? Jakie? Skąd je macie?

– Z cukrem. Sama je robiłam – przerwała, po czym poprawiła się: – To znaczy ciocia Mary i ja.

– Mogę jedno? Mogę, Sara? – dopytywał Jon. Oczywiście dziewczyny przyniosły wystarczająco dla każdego.

Ciastka i lemoniada chyba uspokoiły mój żołądek. Ostatecznie nic mi się nie stało, ale nauczyłem się, żeby na przyszłość uważniej sprawdzać to, czym mnie karmi i poi ten mały brzdąc.



Rozdział 4

Lato

KIEDY SARA I JON WRÓCILI DO DOMU, życie na farmie trochę się uspokoiło. Myślę, że nawet Mary cieszyła się z ciszy i spokoju, choć otwarcie się do tego nie przyznała. Teraz, gdy ogród w pełni rozkwitł, miała bardzo dużo pracy. Nie widywałem jej z pustymi rękami lub siedzącej beczynnie.

Dla mnie lato też było pracowite. Sianokosy, wojna z chwastami, dogłądanie bydła i naprawianie ogrodzeń – zanim zdążyłem się zorientować, wakacje dobiegały końca.

Najbardziej cieszyłem się niedzielami. Był to jedyny dzień w tygodniu, kiedy z czystym sumieniem, bez poczucia winy mogliśmy sobie pozwolić na odpoczynek. Lubiłem też jeździć do kościoła, choć musiałem przyznać, że podróż w sunącym powoli wozie coraz bardziej zachęcała mnie do zakupu samochodu.

Czasami po kościele wstępowaliśmy na obiad do cioci Lou, wujka Nata i ich gromadki. To była nasza jedyna okazja, żeby porozmawiać i dowiedzieć się, co u nich słysząc. Mały Timothy rósł tak szybko, że trudno było za nim nadążyć. W czerwcu świętował pierwsze urodziny i teraz właśnie uczył się chodzić – lub w jego przypadku raczej biegać. Chciał bawić się razem z bratem i siostrą, dlatego pędził za nimi tak prędko, jak tylko pozwalały mu na to drobne nóżki.

– Wydaje się, że w tym roku skończymy trochę szybciej. I że żniwa będą udane – opowiadałem Natowi jednej niedzieli. – Może nawet najlepsze, jakie mieliśmy.

W głównej mierze wakacje upłynęły mi na sprawdzaniu pogody i doglądaniu pól. Wiedziałem, że jedna solidna burza z gradem mogła zniweczyć wszystkie moje wysiłki. Żałowałem, że nie mogę zawrzeć z Bogiem jakiegoś układu. Oczywiście nawet nie próbowałem. Miałem wystarczająco dużo zdrowego rozsądku – i wiary – żeby wiedzieć, że Bóg zna wszystkie moje potrzeby i pragnienia, a w swej miłości zadba o naszą przyszłość. Miałem tylko nadzieję, że ta przyszłość nie obejmuje gradu.

Matylda wróciła tak szybko, jak wyjechała. Jej powitaniu z Mary towarzyszyły takie piski i śmiechy, jak gdyby dziewczęta nie widziały się całe lata. Nawet dziadek i wujek Charlie otrzymali entuzjastyczne uściski. Ja również krótko uścisnąłem Matyldę, a później odsunąłem się i spojrzałem na jej rozpromienioną twarz.

– Jak żniwa? – spytała prędko, zanim zdążyłem otworzyć usta. Żadnego „Jak się masz?” czy coś w tym guście. Tylko „Jak

zniwa?”. Wiedziałem, co jej chodziło po głowie i nie mogłem się powstrzymać, żeby trochę z niej nie pożartować.

Wzruszyłem ramionami i przybrałem posępny wyraz twarzy.

– Myślę, że się zwróci – rzekłem ponurym tonem. – Oczywiście, o ile nie spadnie grad ani nic takiego.

Kąciaki ust Matyldy opadły, a ona sama wydała z siebie jęk zawodu.

– Spójrz na to tak – rzuciłem, klepiąc ją po ramieniu – jeśli pogoda dopisze i nie będzie żadnych innych problemów, będziemy mieć ziarno do zasiewu na przyszłą wiosnę.

Matylda wyglądała na strasznie rozczarowaną, a nawet trochę zawstydzoną.

– Powiedziałam wszystkim znajomym, że kupujesz samochód – wyznała cicho, a jej głos załamał się przy ostatnim słowie.

– Przecież niczego ci nie obiecywałem, prawda? – przypominałem, dalej zachowując posępny wyraz twarzy. – Może nie powinnaś była opowiadać takich bajek.

Matylda wydawała się niebezpiecznie bliska łez. Pomyślałem, że chyba trochę przesadziłem.

– Tylko się drocę – uśmiechnąłem się. – Zbiory wyglądają na obfite. Naprawdę dobre.

Matylda już zamierzała rzucić mi się na szyję z radością, jednak ją powstrzymałem.

– Ale pamiętaj, że nadal niczego nie obiecuję. Po prostu o tym myślę. Żadnych obietnic.

Matylda najwyraźniej nie miała wątpliwości, jaki będzie rezultat tego „myślenia”. Znała mnie już chyba na tyle dobrze,

żeby wiedzieć, jak bardzo sam marzyłem o samochodzie. Uderzyła mnie swą małą pięścią w ramię, jednak jej oczy błyszczały.

– Och, Josh! – jęknęła z wyrzutem. – Jesteś okropny!

Dziadek zachichotał, a wujek Charlie się uśmiechnął.

Początek roku szkolnego oznaczał dość traumatyczny czas dla cioci Lou. Sara Jane szła do pierwszej klasy. Wcześniej nie miałem pojęcia, jak ciężko było matce wypuścić pierwsze dziecko w świat. Lou próbowała się cieszyć, ale wiedziałem, że gdyby tylko mogła cofnąć czas o rok czy dwa, na pewno by się nie zawahała.

Mary kończyła już robienie przetworów z owoców i warzyw. Obserwując, jak kolejne słoiki trafiają na półki w naszej spiżarni, zastanawiałem się, w jaki sposób mielibyśmy to wszystko zjeść. Na moje pytanie odpowiedzieli częściowo dziadek i Mary, znaczny przydział wysyłając wozem do cioci Lou. Mary uważała, że jako matka i żona pastora, Lou miała zbyt dużo obowiązków, by na własną rękę zająć się przetworami. Lou bardzo doceniła jej gest. W końcu pensja pastora była raczej skromna, choć nigdy nie słyszałem, by Lou narzekała.

Wkrótce w kuchni zaczęły pojawiać się ulotki i reklamy zachwalające różne modele samochodów. Doskonale wiedziałem, kto je tam zostawiał. Zastanawiało mnie tylko, skąd Matylda w ogóle je brała.

Tak jak się spodziewała – czytałem to, co przynosiła. Nawet ukradkiem zabierałem te ulotki do swojego pokoju, gdzie leżałem na łóżku, w kółko je przeglądając. Niektóre samochody były wspaniałe! Nie wiedziałem nawet, że mogą mieć takie funkcje. Uruchamianie silnika bez nakręcania go od przodu!

Potem jednak spojrzałem na cenę. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że samochody są takie drogie. Zacząłem powątpiewać w całe przedsięwzięcie. Za podobną kwotę mógłbym dokonać tylu zmian na farmie. Być może kampania Matyldy miała spełznąć na niczym. Zakup samochodu wydawał mi się teraz szaleństwem i zbędną ekstrawagancją.

Całe zniwa spędziłem na rozważaniu argumentów za i przeciw. Czasami sądziłem, że po tej ciężkiej pracy „zasłużyłem” na samochód. Wszyscy na niego zasłużyliśmy – po tylu latach jeżdżenia wozem. *Moglibyśmy zaoszczędzić tyle czasu*, myślałem. Na drugi dzień jednak przypominałem sobie o zmianach, które trzeba było wprowadzić w gospodarstwie, o potrzebach kościoła, o pomocy misyjnej, jaką obiecałem Kamelii, o ilości krów, jaką mógłbym kupić i o wyposażeniu do kuchni Mary. Wtedy samochód znikał z mojej listy najpotrzebniejszych wydatków. Kłóciłem się sam ze sobą. Nawet modlitwa niespecjalnie pomagała uspokoić moje myśli.

Zbiory okazały się całkiem dobre. Lepsze, niż się spodziewałem. Patrzyłem, jak siasieki napełniają się pięknym, dorodnym ziarnem. Musiałem nawet kupić dodatkową skrzynię od Sandersów i przywieźć ją traktorem. Ją również zapełniłem po brzegi. Dobra jakość ziarna zwiastowała dobrą cenę. Bóg naprawdę nas pobłogosławił. Zastanawiałem się tylko, co Jego zdaniem powinienem z tym błogosławieństwem zrobić. Jak zachowałby się odpowiedzialny zarządca?

W ciągu dnia dalej byłem zajęty pracą na farmie, ale wieczorami siadywałem nad naszymi rachunkami. Dokonywałem kolejnych obliczeń. Z każdym ładunkiem ziarna, które

zawoziłem do miasta, liczby w notatniku wzrastały. Nie miałem wątpliwości, że będziemy mieć nadwyżkę gotówki. Tylko czy wystarczy nam na samochód? I jeśli tak, to czy samochód rzeczywiście jest nam potrzebny? Czy okaże się praktyczny? Czy jego zakup będzie właściwą decyzją w przypadku naszej rodziny?

Wiedziałem, że wszyscy czekali na to, co postanowię. Dziadek i wujek Charlie o nic nie pytali. Mary nigdy nie mówiła o samochodzie, choć czułem, że tak jak ja, nie wie, co o nim myśleć. Matylda przestała mnie nagabywać, ale często patrzyła na mnie pytającym wzrokiem. Było jasne, że robiła się już bardzo niecierpliwa.

Pewnego wieczora po raz kolejny przeglądałem w swoim pokoju wszystkie ulotki. Odłożyłem na bok jedną, ze lśniącem, srebrnym bentleyem. Był zbyt kosztowny i ekstrawagancki, choć i tak wyobraziłem sobie, jak przemierzam naszą wioskę za jego kierownicą. Do bentleya dołączyły kolejne modele. Odrzucając następne ulotki miałem wrażenie, że pozbywam się też częściowo własnej dumy. Został mi tylko prosty, zwykły samochód marki Ford. Mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, żeby sobie na niego pozwolić i jednocześnie zadbać o inne rzeczy, które wymagały kupna, wymiany czy naprawy. Ten samochód nie byłby fanaberią. Mógłbym go kupić mając przy tym czyste sumienie.

Westchnąłem z ulgą, odłożyłem ulotkę o fordzie i zgasiłem światło. W ciemności uklęknąłem przy łóżku, by się pomodlić. Dzięki decyzji podjętej przy aprobacie Ojca, nareszcie

zyskałem spokój ducha. Tej nocy wyspałem się tak, jak nie potrafiłem przez ostatnie tygodnie.

Następnego ranka przy śniadaniu odchrząknąłem, by skupić na sobie uwagę rodziny.

– Zdecydowałem, że kupię samochód – oznajmiłem. Zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, Matylda zapiszczała z radości, Mary się uśmiechnęła, a dziadek skinął głową. Wujek Charlie tylko na moment wyszczerzył zęby. Długie, wyboiste podróże bryczką lub wozem źle wpływały na jego powykręcane kości.

– Tylko spokojnie – dodałem od razu, wyciągając rękę do góry i patrząc wprost na Matyldę. – Możemy sobie pozwolić na samochód. Bez problemu. Uznałem jednak, że to będzie prosty model. Nie potrzebujemy niczego luksusowego i nie ma sensu wydawać dodatkowych pieniędzy. Kupimy sobie zwykłego, praktycznego forda. Bez żadnych gadżetów i cudów.

Matylda spoważniała.

– Ale będzie miał koła i zawiezie nas wszędzie, gdzie będziemy potrzebowali – zapewniłem ich.

Twarz Matyldy znów rozjaśnił uśmiech.

– Kiedy? – zapytał dziadek. Próbował to ukryć, ale słyszałem w jego głosie podekscytowanie.

– Dziś pojadę do miasta złożyć zamówienie – odpowiedziałem, sam z trudem kontrolując podniecenie.

– Ojej, Josh! To takie ekscytujące! – wykrzyknęła radośnie Matylda.

Uśmiech wujka Charliego zrobił się jeszcze szerszy.

Spojrzałem na Mary. Była zarumieniona, a jej oczy

błyszczą. Nagle zrobiła coś całkowicie niespodziewanego. Wzięła mnie za rękę i uścisnęła ją. Gdyby taki gest wyszedł od Matyldy, w ogóle bym się nie zdziwił. W zasadzie nie zdziwiłbym się nawet, gdyby Matylda rzuciła mi się na szyję i wyściskała mnie z całych sił. Ale Mary? To drobne okazanie, że dzieli ze mną radość sprawiło, że moje serce zaczęło bić trochę szybciej.

Lekko zarumieniony spojrzałem na pozostałych członków rodziny i wstałem od stołu. Potrzebowałem chwili, żeby uporządkować myśli i móc się odezwać.

– Zamówię go dziś, ale... ale nie wiem jak długo będziemy czekać.

– Mam nadzieję, że niedługo! – krzyknęła Matylda, podskakując na krześle. Dzięki jej reakcji wszystko wróciło do normy. – Mam nadzieję, że szybko go przywiozą. Nie mamy za dużo czasu. Potrzebujemy go jeszcze przed zimą, żeby nauczyć się prowadzić zanim spadnie śnieg...

Matylda urwała. Jej oczy spotkały się z moimi. Wyglądała jak małe dziecko proszące o cukierka. Cały czas mówiła o „naszych” planach – w liczbie mnogiej, co było trochę zbyt śmiałe z jej strony, ale ja tylko się uśmiechnąłem i szybko do niej mrugnąłem. Rozumiałem jej intencje.

Zaraz po naszej wspólnej porannej modlitwie wróciłem do swojego pokoju. Wziąłem ulotkę z fordem i włożyłem ją do kieszeni. Później zająłem się codziennymi porannymi obowiązkami, lecz kiedy tylko skończyłem, osiodłałem Chestera i ruszyłem do miasta.



Rozdział 5

Ford

TAK JAK MATYLDA, miałem nadzieję, że samochód dotrze do nas jeszcze przed nastaniem zimy. Wolałem uczyć się jazdy, gdy drogi nie będą zasypane śniegiem.

Bez problemu udało mi się zająć innymi sprawami i nie myśleć wciąż o fordzie. Zrobiłem sobie co prawda kilka nieplanowanych wycieczek do miasta. Udawałem, że potrzebuję coś załatwić albo jadę odebrać pocztę, ale w rzeczywistości regularnie sprawdzałem, czy nie ma jakichś wieści na temat samochodu.

Podczas jednej z takich wizyt w mieście odebrałem długiego, pełen nowinek list od Kamelii. Pisała w nim, że otrzymała decyzję Towarzystwa Misyjnego i na wiosnę pojedzie do Afryki. Najwyraźniej była bardzo podniecona, bo jej charakter pisma, zazwyczaj staranny, wyglądał teraz nieco niedbale. Cały list pełen był radosnego oczekiwania.

Nie mogę w to uwierzyć, Josh – pisała. Po tych wszystkich latach, wreszcie jadę do ukochanej Afryki Williego. Do ludzi, których tak bardzo kochał. Będę stacjonować niedaleko wioski, w której służył. Obiecali mi, że zabiorą mnie na jego grób. Zobaczę miejsce, gdzie jest pochowany. Wiem, że dla niektórych to nic takiego, ale myślę, że Ty zrozumiesz, dlaczego to dla mnie ważne. Chcę osobiście położyć kwiaty na grobie Williego. Chcę tam przykłęknąć i poprosić Boga, by pomógł mi kontynuować jego misję.

Nie będę tam jednak mieszkać. Przynajmniej na razie. Podobno te okolice są zbyt dzikie dla samotnej kobiety, a teraz nie ma żadnej innej dziewczyny, która mogłaby tam ze mną mieszkać i pracować. Będę się modlić, żeby w swej woli Bóg zesłał mi towarzyszkę, abym wkrótce mogła tam zostać i służyć tym samym ludziom, którym służył Willie.

Dużo mi o nich pisał. Doskonale wyobrażam sobie, jacy są. Tamtejszy wódz to człowiek niewielkiej postury, ale posiada bardzo dużą władzę. Willie mówił, że nikt nigdy nie kwestionował jego opinii. Była tam też pewna staruszka, która karmiła Williego, mimo że ledwo starczało jej jedzenia dla własnej rodziny. Mam nadzieję, że jeszcze żyje. Willie był pewien, że czasami sama musiała nie dojadać. No i dzieci. Willie opowiadał, że wszędzie za nim chodziły, ciekawe, co ten dziwny, biały mężczyzna zamierza robić. Willie dużo pisał też o Andrew, jedynej osobie, którą nawrócił na chrześcijaństwo. To było imię, które nadał mu na chrzcie. Nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

To nie był koniec listu Kamelii, ale musiałem się od niego na chwilę oderwać. Oczy zaszły mi łzami i nie widziałem

liter. Jeśli ja tak bardzo tęskniłem za Williem, to co musiała czuć Kamelia?

W dalszej części pisała o tym, że nie chciała zostawiać matki samej. Potem się jednak poprawiła. Wiedziała, że jej matka nie jest sama – ma u swego boku Pana Boga, tego samego, który będzie towarzyszył także i jej podczas misji.

Zawsze byłeś dla nas takim wspaniałym przyjacielem. I dla mnie, i dla Williego. Teraz doceniam Twoją przyjaźń bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nigdy nie będę w stanie Ci się odwdziżyć za wsparcie finansowe, jakiego mi udzieliłeś. Każdego dnia się za Ciebie modlę. Niech Bóg Cię błogosławi, Josh. Niech spełni wszystkie pragnienia Twojego serca, z czymkolwiek lub kimkolwiek są związane.

Podkreśliła słowo „kimkolwiek” i czytając jej wiadomość wyobraziłem sobie, jak patrzy na mnie z figlarnym błyskiem w oku. Poczułem pustkę. Czy kiedyś pojawi się ktoś, kto mógłby zająć miejsce Kamelii w moim sercu? Odsunąłem tę myśl na bok. Kamelia jechała do Afryki, a ja z jakiegoś powodu, który wciąż stanowił dla mnie zagadkę, zostałem przez Boga powołany do pracy na farmie.

Raz jeszcze przeczytałem ostatni fragment. *Niech Bóg Cię błogosławi, Josh. Niech spełni wszystkie pragnienia Twojego serca, z czymkolwiek...* Urwałem. Przyjechałem do miasta, żeby sprawdzić, czy są jakieś wieści na temat forda. List Kamelii sprawił, że kwestia samochodu wydała mi się nagle nieważna.

– Panie – zacząłem prostą modlitwę – patrzyłem z nieodpowiedniej perspektywy. Wiem, że potrzebujemy samochodu. Rozważyłem to na wszystkie możliwe sposoby i uważam,

że to była dobra decyzja. Pomóż mi jednak, żebym się tym tak bardzo nie przejmował. W końcu to tylko pojazd, który ma nas dowieźć w konkretne miejsce. Ci ludzie, Afrykanie, o których pisze Kamelia, to prawdziwe, wieczne dusze. Bracia. Przypominaj mi o nich podczas modlitwy, szczególnie teraz, gdy Kamelia zamierza głosić im Ewangelię.

Złożyłem list Kamelii i wsunąłem go do wewnętrznej kieszeni. Nie zwracałem sobie już głowy, żeby sprawdzić, co z samochodem. Przyjedzie, kiedy przyjedzie! Zamiast tego zawróciłem Chestera w stronę domu cioci Lou. Stwierdziłem, że dzieci ucieszą się z mojej wizyty, a poza tym miło będzie posiedzieć z Lou przy kawie.

Następnego ranka, gdy się obudziliśmy, ziemia była pokryta śniegiem. Nie będę udawał, że mnie to nie rozzłościło. Miałem takie plany! Ale nie chciałem się nad tym rozwodzić. Na pewno da się prowadzić samochód po niewielkich opadach śniegu.

Lecz Matylda nie pogodziła się z sytuacją tak łatwo jak ja.

– O nieeee! – jęczała. – Co my teraz zrobimy? Co my teraz *zrobimy*, Josh? Śnieg już spadł, a samochodu dalej nie ma! Oooch!

Podeszła do okna, odsunęła starannie wyprasowaną przez Mary firankę z białej koronki i jęknęła raz jeszcze.

– Będziemy musieli uczyć się jeździć w śniegu. Byłoby o wiele łatwiej...

– Myślę, że to nie będzie problem – przerwałem jej. – I tak wciąż jeszcze nie mamy tego samochodu.

Śnieg roztopił się już w południe, a dwa dni później dostarczono naszego forda. Myślałem, że przyzwyczailem się już do tego, że będę właścicielem samochodu, jednak na wieść o dostawie auta poczułem dreszcz podniecenia. Potem pojawiły się zimne poty. Moje ręce zrobiły się lepkie, usta suche, a kolana miękkie z radości, i trochę ze strachu. Zaprzęgliśmy konie i wujek Charlie z dziadkiem zawieźli mnie do miasta. Nie mogłem pojechać na Chesterze, żeby odebrać samochód, bo przecież musiałem autem później wrócić do domu.

Pojechaliśmy prosto do pana Hicksona. Udając nonszalancję wszedłem do jego sklepu, by odebrać swą własność. Przed przyjazdem do miasta resztę zapłaty włożyłem do kieszeni płaszcza i starannie się zapiąłem, żeby jej nie zgubić. Już zacząłem rozpinąć płaszcz, by wydostać pieniądze, jednak pan Hickson mnie uprzedził, wołając:

– Tędy, Josh! Jest piękny! Chodź i sam zobacz!

Ruszyliśmy za nim razem z dziadkiem i wujkiem Charliem.

Pan Hickson miał rację. Samochód był piękny. Nigdy nie widziałem tyle błyszczącego metalu. Stał dumnie, z połyskującą czarną farbą i lśniącymi oknami. Powoli wciągnąłem powietrze. Rzeczywiście był wspaniały!

Widywałem już samochody na ulicach naszego miasta. Niektóre z nich były całkiem ładne. Dla mnie jednak ten ford – mój własny samochód – był najpiękniejszym w całej okolicy. Przybliżyłem się i przesunąłem ręką po połyskującym zderzaku. Pan Hickson otworzył drzwi.

– Zerknij do środka – nalegał. – Popatrz na te skórzane fotele. Zobacz!

Nachyliłem się. Kanapa była wykonana z najlepszej skóry, jaką widziałem. Wypuściłem wstrzymywane powietrze. Słyszałem, że wujek Charlie powiedział coś do dziadka, na co ten wykrzyknął radośnie w odpowiedzi. Odwróciłem się, by na nich spojrzeć. Obydwaj się uśmiechali. *Gapią się na ten samochód, jakby nigdy wcześniej nie widzieli nic podobnego*, zaśmiałem się w duchu.

Dziadek znów wydał z siebie entuzjastyczny okrzyk, a następnie podniósł rękę, by dotknąć czarnej skóry. Wąsy wujka Charliego podrygiwały. On również sięgnął swą powykręcaną dłoń i przejechał po lśniącej szybie samochodu. Przez moment zacząłem się zastanawiać, czy w życiu może być cokolwiek bardziej podniecającego niż patrzenie na swój pierwszy samochód. I to w dodatku nowiutki. Na ziemię sprowadził mnie głos pana Hicksona.

– Jeszcze tylko parę formalności i możesz nim stąd wyjeżdżać.

Pan Hickson ruszył w stronę swojego biura, a ja poszedłem za nim z chwilowym uczuciem paniki. Pan Hickson powiedział, że mogę nim stąd wyjeżdżać. Myślałem, że wiedział, iż nigdy w życiu nie prowadziłem samochodu. Nie oczekiwał chyba, że wsiądę i tak od razu...

– Ma pan jakieś papiery, jakąś instrukcję? – zapytał go rzeczowo dziadek. To ja powinienem był zadać to pytanie.

– Oczywiście. Oczywiście – odparł pan Hickson, żywo kiwając głową. – Wszystko, co musicie wiedzieć, jest u mnie w biurze.

Co za ulga! Może uda mi się jednak uniknąć upokorzenia.

– Joe Hess też ma forda. Bardzo podobnego do waszego, tylko trochę starszego – odezwał się pan Hickson. – Chętnie tu przyjdzie i zabierze Josha na pierwszą przejażdżkę.

– Świetnie. Będziemy wdzięczni – powiedział dziadek, lecz zaraz dodał szybko: – Josh musi tylko zobaczyć, o co chodzi. Szybko się połapie. W końcu jeździ traktorem już od jakiegoś czasu.

Pan Hickson znów pokiwał głową.

– Zaraz pošlę Mickey’go po Joe.

Zgodnie z obietnicą, wezwał młodego pomocnika z zaplecza i wysłał w drogę.

Z jakiegoś powodu wszyscy zapomnieliśmy chyba o tym, że to ja kupowałem samochód. Pan Hickson wraz z dziadkiem robili plany i ustalenia beze mnie. Szybko jednak sobie o mnie przypomnieli, kiedy zaczęli rozmawiać o zapłacie. Wyciągnąłem pieniądze z kieszeni, a pan Hickson je przeliczył.

– Zgadza się – powiedział. – Wszystko w porządku.

No, ja myślę, że w porządku. Przed wyjazdem do miasta przeliczyłem pieniądze trzy razy. Joe przyszedł zanim jeszcze skończyliśmy z formalnościami. Wydawało się, że samochód zrobił na nim odpowiednie wrażenie. Obchodził go dookoła, uważnie oglądając każdy szczegół, a zwłaszcza te, których jego starszy model nie posiadał. Niewiele mówił, ale uśmiechał się z podziwem, od czasu do czasu dotykając czarnego metalu.

Wszyscy weszliśmy do środka, żeby wybrać się na pierwszą przejażdżkę po mieście. Usiadłem z przodu obok Joe, który pokazywał mi, jak prowadzić. Dziadek i wujek Charlie

usadowili się z tyłu. Nie potrafiłbym powiedzieć, kto z nas był najbardziej podniecony.

Pan Hickson pokręcił korbą i za chwilę ford dość gwałtownie ruszył z miejsca, na co dziadek z przestachem wciągnął powietrze. Ale zaraz potem samochód gładko wyjechał na główną ulicę, mijając sklepy i przechodniów.

Bez wątpienia stanowiliśmy nie lada widok. Ludzie przystawali i odwracali głowy, właściciele wychodzili ze swoich sklepów, mieszkańcy odsuwali firanki w oknach, a psy szczekały i puszczały się za nami w pościg.

Im dalej jechaliśmy, tym większą prędkość osiągaliliśmy. Wkrótce pędziliśmy już tak szybko, że prawie zaparło mi dech w piersiach. Ale Joe najwyraźniej wiedział, co robi, bo wykonywał wszelkie manewry, jakby to była najłatwiejsza rzecz na świecie.

Kiedy wyjechaliśmy z miasta, zasugerował, żebym teraz to ja usiadł za kierownicą. Byłem tak zdenerwowany, że trzęsły mi się ręce, ale wziąłem głęboki oddech i przesiadłem się na miejsce kierowcy. Robiłem wszystko tak, jak pokazywał mi Joe. No, prawie. Puściłem sprzęgło odrobinę za szybko i samochód gwałtownie szarpnął. Silnik zgasł i Joe musiał wyjść na zewnątrz i pokręcić korbą, by znów go zapalić. Moja następna próba powiodła się trochę lepiej. W mgnieniu oka sunąłem po drodze tak, jak gdybym prowadził samochód całe życie.

Gdy wracaliśmy do miasta, by odwiedzić Joe do domu, radziłem sobie już całkiem dobrze. Postanowiliśmy przy okazji odwiedzić Nata i Lou, żeby trochę się pochwalić. Miałem

wielką nadzieję, że Nat będzie w domu. Taki samochód na pewno by mu się przydał podczas wizyt u wiernych.

Jak się okazało, Nat był w domu, i musieliśmy mu pokazać każdą część samochodu, jaka tylko się ruszała. Z szerokim uśmiechem na ustach dokładnie wszystko oglądał, cmokając przy tym z zadowoleniem. Miałem wrażenie, że zaraz pękne z dumy. Czułem się jeszcze bardziej męski i dorosły, niż kiedy zostałem właścicielem gospodarstwa.

W końcu opuściliśmy naszą widownię i wyjechaliśmy na ulicę. Jon pobiegł za nami z głośnym płaczem. On też chciał jechać. Wcześniej zabrałem wszystkie dzieci na małą przejażdżkę, ale to mu najwyraźniej nie wystarczało. Chciał być wszędzie tam, gdzie samochód.

Kiedy dotarliśmy z powrotem do pana Hicksona, dziadek wygramolił się z auta i poszedł odwiązać konie. Wujek Charlie również zaczął wychodzić na zewnątrz, choć wydawało mi się, że robi to dość niechętnie. Dziadek chyba również to wyczuł.

– Może pojedziesz do domu z Joshem? – zaproponował. – Nie ma sensu, żebyśmy obydwaj jechali tym rozklekotanym wozem.

Wujek Charlie się nie sprzeciwiał. Usadowił się z powrotem na skórzanej kanapie, wdychając jesienne powietrze. Później wyjął swój kieszonkowy zegarek i dokładnie go obejrzał.

– Dobrze, Josh – zaczął z błyskiem w oku – zobaczymy, ile czasu zajmie ci dojazd stąd na farmę.

Uśmiechnąłem się szeroko, a potem skinąłem głową. Wrzuciłem bieg i ruszyliśmy na wieś. Kiedy wyjechaliśmy z miasta, pozwoliłem sobie na większą prędkość. Wiatr zacinał

przez otwarte okna. Daleko za nami dziadek dopiero kierował wóz na drogę do domu. Za chwilę kurz spod opon przysłonił nam widok i zostawiliśmy dziadka z tyłu.

Nie próbowaliśmy pobijać rekordów. Starąłem się prowadzić odpowiedzialnie. Mimo ostrożnej jazdy, droga do domu zajęła nam tylko jedenaście minut i trzydzieści siedem sekund. Wujek Charlie śmiał się radośnie, pokazując mi zegarek, bym sam mógł zobaczyć.

Wreszcie skręciliśmy w nasze podwórze. Nie mogłem się już doczekać, żeby pokazać dziewczynom samochód. Później zerknąłem na kurz, który osiadł na jego lśniącej karoserii. Z konsternacją pomyślałem, że zanim pochwalę się nowym nabytkiem, chciałbym go jakoś przeczyszczyć. Nie miałem jednak takiej możliwości, ponieważ Mary już właśnie wybiegła nam naprzeciw.



Rozdział 6

Wizyta

POKAZAŁEM MARY SAMOCHÓD i zabrałem ją na przejażdżkę. Potem umyłem i wypolerowałem zarówno karoserię, jak i skórę w środku. Zdążyłem z tym wszystkim zanim jeszcze dziadek wrócił z miasta. W drodze do domu nauczyłem się jednej rzeczy – podmuch świeżego jesiennego wiatru wpadającego przez okna samochodu może być orzeźwiający, ale na wiejskich drogach jest bardzo niepraktyczny. Zdecydowałem, że od tej pory okna będą zamknięte podczas jazdy. Oznajmiłem to wujkowi Charliemu, kiedy przyglądał się, jak poleruję i czyszczę forda.

Dziadek poszedł zanieść zakupy, o które prosiła Mary, a ja zaprowadziłem konie do obory i wróciłem do polerowania auta. Zostawiłem je dopiero, by napić się herbaty i zjeść trochę chleba kukurydzianego. Gdy nadszedł czas końca lekcji, pojechaliśmy wszyscy po Matyldę do szkoły.

– Nie mogę się doczekać jej miny, gdy nas zobaczy! – powiedziała ciepło Mary.

Jechałem bardzo powoli. Nie chciałem, żeby auto znów się całe zakurzyło, zanim Matylda będzie miała okazję je obejrzeć. Mimo wolnego tempa i tak byliśmy trochę przed czasem. Zaparkowałem na drodze za wzgórzem, kawałek od szkoły. Nie chciałem zajeżdżać przed szkołę, gdy Matylda będzie jeszcze prowadzić lekcję.

Wreszcie wujek Charlie dał znać, że możemy podjechać bliżej. Wskoczyłem na zewnątrz, żeby uruchomić silnik, podczas gdy dziadek naciskał i pociągał odpowiednie przyciski i dźwignie. Joe powiedział, że do odpalenia samochodu wystarczy jedna osoba, ale chyba jeszcze tego nie opanowaliśmy.

Mijając ostatni pagórek na drodze do szkoły, spotkaliśmy kilkoro uczniów Matyldy. Lekcje musiały już dobiec końca. Jeśli liczyliśmy na to, że Matylda będzie podekscytowana, jej reakcja zdecydowanie spełniła nasze oczekiwania. Kiedy wjeżdżaliśmy na szkolne podwórze, wyjrzała przez okno, by sprawdzić, skąd dobiega ten dziwny hałas. Przez chwilę stała z szeroko otwartymi oczami i ręką zakrywającą usta. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy Mary energicznie do niej pomachała. Matylda wybiegła jak burza i jednym susem przeskoczyła wszystkie stopnie.

– Już jest! Już jest! – wykrzykiwała, biegnąc w naszą stronę. – Ojej, Josh! W końcu przyjechał!

Postanowiłem nie komentować, że sam to zauważyłem. Matylda nawet się nie zatrzymała, żeby spojrzeć na błyszczący metal, który tak pracowicie polerowałem. Nie zerknęła na

lśniącej szyby. Nie zwalniając tempa, rzuciła się do drzwi i szybkim ruchem przepchnęła się obok Mary, by usiąść przy mnie.

– Pokaż! – nalegała. – Szybko, pokaż mi wszystko!

– Stąd niewiele zobaczysz – powiedziałem dość ostro, próbując przesunąć się na tyle, żeby zrobić jej miejsce. – Musisz wyjść na zewnątrz.

Otworzyłem drzwi, jednak Matylida tylko potrząsnęła głową tak energicznie, że loki wypadły jej ze spinek.

– Nie! – jęknęła, zabierając moją rękę z klamki. – Pokaż mi, jak się prowadzi!

Dziadek parsknął, a wujek Charlie się zaśmiał. Mary tylko wzruszyła swoimi szczupłymi ramionami, rozchylając usta w uśmiechu. A ja byłem w szoku. Nie przygotowałem się psychicznie na to, że będę uczyć Matyldę prowadzenia auta. Sam ledwo opanowałem tę umiejętność. Zawahałem się.

– Przyjechaliśmy, żeby odebrać cię ze szkoły – poinformowałem. – Jesteś gotowa?

Matylida najwyraźniej nie zrozumiała, o co mi chodzi. Kilkakrotnie przełknęła powietrze, prawie odzyskując panowanie nad sobą, po czym odparła:

– Nie. Muszę iść po książki, wyczyścić tablicę i zamknąć szkołę.

Postanowiliśmy jej towarzyszyć. Mary ścierała tablicę, podczas gdy Matylida zbierała książki. Dziadek i wujek Charlie z uwagą oglądali mapę na ścianie, a ja rozglądałem się po sali, przypominając sobie, jak wyglądała, kiedy sam byłem uczniem.

Siedzieliśmy w rzędzie pod oknem razem z Averym i Willem. Przypominał mi się teraz ze wszystkimi szczegółami,

jakbym go widział. Pamiętałem jego rozczochraną czuprynę opadającą na czoło, piegi rozsiane po czubku nosa, twarz krzywiącą się z wysiłku podczas wykonywania zadań z arytmetyki.

Odwrociłem się gwałtownie i wyszedłem z klasy. Wspomnienia były zbyt bolesne.

– Poczekam na zewnątrz – powiedziałem głosem tak opanowanym, na jaki było mnie stać i stanowczo zamknąłem za sobą drzwi, jakbym chciał oddzielić się nimi od przeszłości.

Matylda szybko pozbierała swoje rzeczy i wkrótce byliśmy już z powrotem w drodze do domu. Tylko trochę zmieniliśmy miejsca – Mary zajęła siedzenie z tyłu, obok dziadka i wujka Charliego. Było im chyba odrobinę ciasno, ale nikt nie narzekał. Matylda jechała z przodu, tuż obok mnie. W ogóle nie patrzyła na skórzaną tapicerkę. Zamiast tego wpatrywała się w kierownicę i wszelkie dźwignie oraz przyciski, zachłannie obserwując każdy mój ruch. Wiedziałem, że nie da mi spokoju, dopóki nie nauczę jej prowadzić. Nie byłem jednak gotowy, żeby dać komuś forda. Jeszcze nie. Nawet Matyldzie.

– Może usiądziesz spokojnie, żeby nacieszyć się jazdą? – zaproponowałem. – W końcu nie będziemy po ciebie przyjeżdżać codziennie.

Matylda chyba zrozumiała, o co mi chodzi. Z westchnieniem oparła się wygodniej na siedzeniu. Ale tylko trochę. Nadal jednak czułem jej wzrok na swoich dłoniach.

Mój upór nie trwał długo i wkrótce udzieliłem Matyldzie kilku lekcji jazdy. Nie zapuszczaliśmy się na drogę – jeździliśmy tylko w tę i z powrotem po naszym podwórzu. Musiałem przyznać, że Matylda była pojętną uczennicą. Proponowałem

naukę także i Mary, ale ona jedynie uśmiechała się mówiąc, że woli zostawić prowadzenie auta w moich rękach.

Samochód okazał się bardzo przydatny i pozwolił nam zaoszczędzić mnóstwo czasu na przejazdach do miasta i z powrotem. Najbardziej cieszyliśmy się ze wspólnych niedzielnych wypraw do kościoła. Było trochę ciasno, ale nikt nie narzekał.

Później nadeszła zima i samochód przestał być praktyczny. Schowałem go więc w garażu, który specjalnie dla niego zbudowałem i znów wróciliśmy do zaprzęgania koni. Nagle droga do miasta saniami wydawała mi się dłuższa niż kiedykolwiek wcześniej.

Pewnego wieczora nasz spokój przerwało ujadanie psa. Wszyscy wstaliśmy, żeby wyrzeć przez okno. Nie spodziewaliśmy się żadnych gości. Noc była chłodna, ale nie mroźna. Wiał spokojny wiatr, a niebo rozświetlał księżyc. Nie mieliśmy pojęcia, kto mógłby nas odwiedzić o tej godzinie. Przez chwilę wystraszyłem się, że stało się coś złego i wujek Nat przyjechał nas o tym powiadomić.

Jak się okazało, nie był to wujek Nat. Z ulgą odkryłem, że przybyszem był ktoś obcy. Choć może nie całkiem obcy. Widziałem go już raz czy dwa, a słuchając później powitań w kuchni doszedłem do wniosku, że Mary i Matylda znają go całkiem dobrze.

Dziadek, który otworzył drzwi, nie miał chyba jednak pojęcia, kim jest nasz gość. Mimo to wyciągnął do niego rękę na powitanie, po czym zaprosił do środka.

– Chyba nie mieliśmy przyjemności się poznać – powiedział, pewnym ruchem potrząsając dłonią mężczyzny.

– Sanders. Will Sanders. To my kupiliśmy pole obok – odezwał się młody człowiek, skinieniem głowy wskazując na wschód.

– Sanders – powtórzył dziadek. – Wydaje mi się, że poznałem już jakiegoś Sandersa.

Dziadek wyglądał na skonsternowanego.

– Może twojego tatę?

– Nie, proszę pana. Mojego najstarszego brata. To on kupił działkę. Nasz ojciec zmarł siedem lat temu.

– Przykro mi – skomentował szczerze dziadek. – Wejdz, rozgość się. Czym możemy ci służyć?

Na twarzy mężczyzny pojawił się delikatny uśmiech.

– Niczym, dziękuję – powiedział. – Po prostu przyszedłem z wizytą.

Nie skorzystał z krzesła, które zaoferował mu dziadek. Do tej pory reszta z nas przyglądała się tylko ich rozmowie. Will stwierdził chyba, że pora to zmienić. Rozejrzał się po pokoju. Lekko skinął głową wujkowi Charliemu, później przeniósł spojrzenie na mnie, a wreszcie skupił swoją uwagę na dziewczętach. Po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął. Zdjął kapelusz i z delikatnym ukłonem zwrócił się do nich.

– Witam, panno Turley, panno Hopkins.

Dopiero wtedy dokładniej mu się przyjrzałem. Był nieco wyższy niż ja. Jego barki były szersze, a biodra węższe. Nawet w słabym blasku lampy naftowej widziałem jego ciemne loki i głęboko osadzone oczy. Miał kwadratową szczękę i prosty nos. Uśmiechając się, odsłaniał równy rząd białych zębów. Nie byłem ekspertem, ale wiedziałem, że musiał podobać się

dziewczynom. Poruszyłem się niespokojnie, obserwując, jak reagują na jego powitanie. Obie miały zaczerwienione policzki i błyszczące spojrzenie.

Mary odezwała się jako pierwsza.

Proszę wejść, panie Sanders – zaproponowała serdecznie.
– Niech pan pozwoli, wezmę pański płaszcz i kapelusz.

Will Sanders podał Mary swój kapelusz i zdjął ciężkie zimowe okrycie. Mary zawiesiła je w rogu, na wieszaku dla gości. Matylda natomiast milczała dłużej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Nie wiedziałam, że się tu przeprowadziłeś – odezwała się w końcu, patrząc nieśmiało w stronę Sandersa.

– Myślałem o tym, żeby wrócić do miasta na zimę, ale mój brat stwierdził, że przyda mu się trochę pomocy na farmie.

Raz jeszcze niespokojnie przestąpiłem z nogi na nogę.

– Poznałeś już Josha? – zapytała Mary.

Will przeniósł swoje spojrzenie na mnie. Popatrzył przez chwilę, a później odezwał się powoli, ważąc każde słowo.

– Wydaje mi się, że nie miałem zaszczytu – powiedział z nieco zbyt poufałym jak na mój gust uśmiechem.

Zrobiłem krok naprzód i wyciągnąłem rękę. Wydawało mi się, że tego wymagała sytuacja. Will mocno uścisnął moją dłoń. Zastanawiałem się, czy chce, żebym skrzywił się z bólu. Również zacisnąłem palce nieco ciaśniej. Chciałem, żeby wiedział, że nie jest jedynym silnym mężczyzną w okolicy.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się na moment. W jego oczach dostrzegłem coś na kształt wyzwania. Nie byłem pewien, o co mu chodziło, ale poczułem się nieswojo.

Gawędziliśmy trochę, próbując wymyślić tematy do rozmowy – takie jak pogoda czy pasza dla bydła – aż wreszcie Mary zaproponowała, że zagramy w trymlę. Wszyscy zasiedliśmy więc dookoła stołu. Gra szła całkiem dobrze. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłbym wytłumaczyć, bardzo zależało mi na tym, żeby wygrać. I tak też się stało. Następną rundę wygrała Mary. Zupełnie mi to nie przeszkadzało, jednak zirytowało mnie trochę, że Sanders był drugi.

Mary przygotowała dla nas małą przekąskę, a wujek Charlie i dziadek dosiedli się do naszego stołu. Ciężar rozmowy spoczywał głównie na Matyldzie. Gawędziła wesoło z Sandersem, który od czasu do czasu rzucał jakiś komentarz w stronę Mary, ona zaś chętnie odpowiadała. Ja prawie tego wszystkiego nie słuchałem. Ich rozmowa mało mnie obchodziła. Jedno ze stwierdzeń Matyldy przykuło jednak moją uwagę.

– Josh ma nowego forda, ale jest schowany na zimę.

Poczułem się dumny. To była jedyna dziedzina, w której miałem przewagę nad tym mieszczuchem. Niestety, jego słowa szybko sprowadziły mnie na ziemię.

– Ja mam srebrnego bentleya, ale zostawiłem go w mieście. Nie wiedziałem, jak wyglądają tu drogi, a nie chciałem go zniszczyć. Może przyjadę nim na wiosnę.

Miałem nieprzyjemne uczucie ściskania w brzuchu. Mary nie skomentowała przechwałek Willa, ale Matylda niemal mdlała z wrażenia.

– Srebrny bentley! Widziałam takiego na ulotce. Są piękne.

Młody mężczyzna skinął głową tak, jak gdyby srebrny bentley był najmniej piękną rzeczą, jaką posiadał.

Po długiej rozmowie o niczym, skupionej głównie wokół niego, Will w końcu zdecydował, że musi wracać. Jeśli liczył na to, że będę próbował go zatrzymać, to się mylił. Wychodząc obiecał jednak, że wróci. Nie zapytał, czy może albo czy będziemy mieć coś przeciwko. Po prostu zapowiedział, iż wpadnie przy najbliższej okazji. Wzdrygnąłem się w środku.

Po wyjściu Willa przy pierwszej możliwej okazji powiedziałem wszystkim dobranoc i poszedłem do siebie na górę. Choć zamknąłem za sobą drzwi, i tak słyszałem, jak Mary z Matyldą chichoczą jak małe dziewczynki. Cała ta sytuacja tak bardzo wytrąciła mnie z równowagi, że ledwo mogłem się skupić na czytaniu Biblii i modlitwie. Z drugiej jednak strony nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego tak się czułem. Próbowałem zapomnieć o tych niepokojących myślach i zasnąć, ale było to dla mnie zbyt trudne. Wierciłem się i przewracałem z boku na bok, aż usłyszałem, że zegar wybija trzecią w nocy. Nadal nie mogłem zasnąć. Uderzyłem pięścią w poduszkę, gorąco żałując, że w ogóle poznałem tego chłopaka.



Rozdział 7

Zmiany

BRAK SNU SPRAWIŁ, że następnego ranka byłem w złym nastroju. Jeszcze nigdy nie czułem się tak nieswojo i zupełnie nie rozumiałem dlaczego. Wiedziałem, że miało to coś wspólnego z tym chłystkiem, Willem Sandersem, ale i tak nie miałem pojęcia, co zrobił, żeby wzbudzić we mnie aż tak silną niechęć. Wydawał się całkiem przyzwoitym chłopakiem. Na pewno zachowywał się jak dżentelmen podczas swojej wizyty – nawet jeśli była niezapowiedziana. Nikt inny chyba nie poczuł się urażony jego niespodziewanym przybyciem, a *niektórzy* byli wręcz zadowoleni.

Z jakiegoś powodu załazł mi za skórę. Po długim namyśle doszedłem do wniosku, że nie podobała mi się uwaga, jaką poświęcały mu Matyllda i Mary. Nie miało to sensu, ale tak właśnie czułem. Miałem wrażenie, jakby Will Sanders rzucił

mi wyzwanie, jakby zapędził mnie w kozi róg. Czego jednak próbowałem bronić? I dlaczego obecność nowego sąsiada wymagała ode mnie defensywy?

Nie chciałem o tym myśleć – przynajmniej nie w takim nastroju. Zająłem się pracą i wróciłem do domu na śniadanie. Przyszedłem nieco później niż zwykle, dlatego w kuchni zastałem niemal pusty stół.

– Matyllda musiała zjeść wcześniej, żeby nie spóźnić się do szkoły – wyjaśniła Mary, nie dając po sobie poznać, że moje spóźnienie sprawiło komukolwiek kłopot.

Przygotowała dwa talerze z naleśnikami i bekonem, obok których postawiła dwa kubki kawy.

– Dziadek i wujek Charlie zjedli z Matyldą – ciągnęła. Nie skomentowała faktu, że ona sama czekała na mnie.

W odpowiedzi tylko skinąłem głową. Kiedy Mary usiadła obok, odmówiłem modlitwę przed jedzeniem.

– Jakież problemy ze zwierzętami? – zapytała, gdy zaczęliśmy jeść.

Przez chwilę nie rozumiałem, o co jej chodzi, ale potem zdałem sobie sprawę, że nawiązywała do mojego spóźnienia.

– Nie – zaprzeczyłem szybko. – To co zwykle. Dziś byłem chyba po prostu powolny. Z jakiegoś powodu nie mogłem spać w nocy.

Miałem nadzieję, że moje wytłumaczenie okaże się wystarczające i nie będziemy już o tym rozmawiać. Zamiast tego jednak poczułem na sobie uważne spojrzenie Mary.

– Źle się czujesz? Może jesteś chory? – zapytała z troską w oczach.

– Ja? Nie... Po prostu... To pewnie przez kolację. Zwykle nie jem tak dużo przed snem.

Mary nie drażyła tematu, ale czułem, że nadal badawczo mi się przygląda. Nie bardzo miałem apetyt, ale teraz musiałem już dokończyć śniadanie co do okruszka. Resztę posiłku spędziliśmy w milczeniu. I tak nie byłem w nastroju do rozmowy. Mary chyba to wyczuła, bo nie próbowała mnie zagadywać.

– Gdzie dziadek i wujek Charlie? – zapytałem wreszcie, zdając sobie sprawę, że ich nieobecność w kuchni o tej godzinie w zimowy dzień była dość niezwykła.

– Wujek Charlie jest w swoim pokoju. Powiedział, że chce trochę poczytać, ale wydaje mi się, że też się nie wyspał. Dziadek poszedł do szopy popracować nad sankami dla Jona i Sary. Mówi, że w każdej chwili może się jeszcze bardziej ochłodzić, a wtedy nie będzie w stanie pracować na zewnątrz.

Skinałem głową. Tak, pogoda mogła się pogorszyć lada chwila. Był już prawie grudzień. Po kilku kolejnych minutach ciszy Mary zabrała nasze talerze i dołała kawy. Potem usiadła z powrotem na krześle, wzięła łyk ze swojego kubka i odstawiła go na stół.

– Mitch wpadł, kiedy byłeś w oborze – powiedziała. Odwróciłem się, by na nią zerknąć. Martwiłem się, że Mitch przyniósł jakieś złe wiadomości. Bardzo długo nas nie odwiedzał, a nie należał do osób, które przychodziłyby z wizytą o tej porze dnia.

Mary odpowiedziała na moje spojrzenie.

– Ma już dość zajmowania się farmą – ciągnęła opamiętanym tonem, choć w jej oczach dostrzegłem ból. Nie

wiedziałem tylko, czy było jej przykro z powodu Mitcha, czy ze względu na rodziców.

– Chce znaleźć pracę w mieście. Wstąpił tu po drodze na pociąg.

Na moment zapomniałem o swoich własnych, błahych problemach. Mary potrzebowała teraz współczucia i wsparcia. W jej oczach zalśniły łzy, ale nie pozwoliła im spaść na policzki. Chciałem ją jakoś pocieszyć – dać znać, że wiem, jak jej ciężko i że nie mogę patrzeć, jak cierpi. Ale zamiast tego siedziałem bez ruchu, niezdarnie szukając w głowie odpowiednich słów. Nie wiedziałem, co powiedzieć ani co zrobić. Wreszcie zdobyłem się na odwagę i spróbowałem wyjść naprzeciw jej uczuciom – choćby moją gotowością do rozmowy.

– Mówił, na jak długo wyjeżdża?

Mary spuściła wzrok.

– Nie zamierza wracać – powiedziała cicho.

– Ja... Bardzo mi przykro – wymamrotałem, sięgając po dłoń Mary leżącą na ceracie w szachownicy. – Czy... czy twój tata da sobie radę sam?

Mary popatrzyła na mnie i tym razem łzy już spłynęły po jej policzkach. Uścisnęła moją rękę tak, jak gdyby to była jej ostatnia deska ratunku.

– Och, Josh – szepnęła – bardziej martwię się o Mitcha. Tyle się za niego modliłam. Miałam taką nadzieję, że uwierzy w Boga. A teraz? Co się z nim stanie, jeśli trafi w mieście na jakieś złe towarzystwo?

Przykryłem dłoń Mary swoją drugą ręką.

– Hej – odezwałem się pocieszającym tonem – dalej będziemy się za niego modlić. Modlitwa działa nawet na długie dystanse. I pamiętaj, że w mieście są też dobrzy ludzie. Może Bóg posyła Mitcha właśnie do ludzi, albo do jednej osoby, która dotrze do niego tak, jak my nie potrafiliśmy.

Mary słuchała mnie uważnie. Przez moment milczała, a potem zdobyła się na słaby uśmiech. Zabrała swą rękę i sięgnęła do kieszeni fartucha po chusteczkę. Wytarłszy oczy i nos, opanowała emocje.

– Tata da sobie radę. Tak myślę – powiedziała cicho. – Mitch i tak niespecjalnie przejmował się farmą. Ale mama pewnie jest załamana.

Po jej policzku spłynęła kolejna łza.

Zamyśliłem się nad sytuacją Mary. Myślałem o jej rodzicach i o tym, jak martwili się o Mitcha.

– Pokłócili się? – zapytałem ostrożnie, w pełni świadomy, że to nie moja sprawa.

Mary tylko się uśmiechnęła.

– O to samo spytałam Mitcha – odparła. – Powiedział, że nie. Oznajmił tylko, co zamierza, a rodzice nawet nie próbowali się z nim sprzeczać. Mówił, że mama trochę płakała. Ale tego się akurat spodziewałam.

Mary wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia. Zastanowiłem się nad jej słowami. Wydawało mi się, że niewiele mogę z tym wszystkim zrobić. Potem jednak do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

– Może pojedziesz na parę dni do domu?

Mary odwróciła się, by spojrzeć na mnie rozszerzonymi oczami.

– O nie, nie mogę! – wykrzyknęła.

– Dlaczego? Damy sobie radę przez kilka dni.

– Ale... Trzeba przygotować posiłki i...

– Wcześniej jakoś sobie gotowaliśmy. – Teraz nie miałem już wątpliwości, że wizyta w domu wyjdzie na dobre zarówno Mary, jak i jej mamie.

– Ale... Matylda... trzeba jej spakować drugie śniadanie i...

– Będziemy przygotowywać dla niej śniadania. Sam się tym zajmę. Jeśli tylko nie będzie się bała.

– Ale... Nie wiem, co powiedzieć.

– Po prostu jedź. Naprawdę. Damy sobie radę. Oczywiście o ile wkrótce do nas wrócisz.

Widziałem, że Mary była rozdarta. Bardzo chciała jechać do domu, ale czuła się zobowiązana wobec nas.

– Mówię poważnie, Mary – nalegałem, wstając z krzesła, żeby zabrać ścierkę z jej rąk.

– Idź się spakuj, a ja zapręgnę Chestera do sań.

– Na pewno? – zapytała Mary ostatni raz.

– Na pewno. – Delikatnie ją obróciłem i popchnąłem w kierunku pokoju.

Mary posłusznie ruszyła w stronę swojej sypialni, jednak odchodząc rzuciła jeszcze przez ramię:

– Nie umyłam naczyń.

Zerknąłem na naczynia. Mary pozmywała już po pierwszym śniadaniu.

– Pozmywam, jak tylko wrócę – obiecałem jej i w końcu poszła.

Kiedy tylko zniknęła, zdjąłem płaszcz z wieszaka przy drzwiach i poszedłem zaprzęgnąć Chestera. Podjechałem sianiami pod dom akurat w momencie, gdy Mary pojawiła się na zewnątrz z walizką w ręce. Załadowałem jej bagaż i ruszyliśmy w drogę. Chester dawno nie ciągnął sań czy wozu, więc był trochę rozbrykany i zaczął naszą wyprawę niemalże galopem. Musiałem go hamować, żeby wyrobić się na zakręcie.

Mary nie była zbyt rozmowna, ale chyba nam obojgu podobała się szybka przejażdżka na zimnym powietrzu. Miałem wrażenie, że Mary zrobiła się spokojniejsza, a jej oczy pojaśniały. Byłem zadowolony, że to ja zaproponowałem jej wyjazd do domu. Odezwała się po raz pierwszy, gdy skręcaliśmy w alejkę prowadzącą do ziemi Turleyów.

– Jak długo powinnam zostać?

– Jak długo uznasz za właściwe – odpowiedziałem powoli.

Mary uśmiechnęła się figlarnie.

– Próbujesz się mnie pozbyć, Josh?

– Tak naprawdę – zacząłem w podobnym tonie – mam nadzieję, że sama za nami zatęsknisz.

Delikatny rumieniec Mary sprawił, że musiałem się roześmiać.

– A tak poważnie? – zapytała po chwili.

– A tak poważnie, może na przykład do niedzieli?

– Tak długo? Jest dopiero środa.

– Wiem. Będę odliczać dni, więc pilnuj, żeby się nie spóźnić!

Mary znów się zarumieniła.

– Tak się zastanawiałam... – odezwała się po chwili ciszy – może Matylda chciałaby do mnie przyjechać w piątek wieczorem. Jeszcze nigdy u mnie nie była. I myślę, że jej wesoły nastrój dobrze zrobi mamie.

Zatrzymałem Chestera tuż przed domem Mary.

– Powiem Matyldzie – obiecałem. – Na pewno będzie chciała cię odwiedzić. Sam ją przywiozę.

Pomogłem Mary i chwyciłem za lejce.

– Może wejdiesz do środka? – zaproponowała.

– Myślę, że potrzebujecie побыć z mamą same – powiedziałem poważnie. Za chwilę jednak przybrałem trochę lżejszy ton. – Poza tym w domu czekają na mnie brudne naczynia, prawda?

Mary zaśmiała się delikatnie, ale zaraz potem spoważniała.

– Dziękuję, Josh. Za zrozumienie. I w ogóle za wszystko.

Skinąłem głową i wsiadłem do sań.

– Josh? – zawołała cicho. Odwróciłem się, by na nią spojrzeć. Dookoła niej spadały płatki śniegu. Kilka z nich przycupnęło na kosmykach włosów, które wyslizgnęły się spod jej futrzanej czapki. Jej oczy lśniły, a twarz rozbłysła pod wpływem spontanicznej, lecz najwyraźniej przyjemnej myśli. Czekałem podziwiając, jak pięknie wygląda z walizką w ręce.

– Josh – powtórzyła. – Samochód jest bardzo ładny. Ale chyba nie może się równać z zimową przejażdżką saniami, prawda?

Zaśmiałem się. Mary podsumowała moje własne odczucia.

– Powinniśmy to robić częściej – przyznałem. – Przypomnij mi o tym.

Z ostatnim uśmiechem na ustach zawróciłem Chestera i prędko ruszyliśmy w drogę do domu. Mary miała rację. Trudno było znaleźć coś przyjemniejszego niż przejażdżka saniami ciągniętymi przez Chestera. Zamierzałem się nią cieszyć, jednak z jakiegoś powodu podróż powrotna nie była tak przyjemna, jak się tego spodziewałem.

Gdy wróciłem do domu okazało się, że wujek Charlie już pozmywał. Zrobił także świeżej kawy, którą teraz pił razem z dziadkiem przy kuchennym stole. Kiedy wszedłem do kuchni, obydwaj na mnie spojrzeli.

– Coś nie tak, chłopcze? – zapytał dziadek.

Nalałem sobie trochę kawy i się do nich przysiadłem. Później opowiedziałem o wyjeździe Mitcha i zmartwieniach Mary.

– Postąpiłeś słusznie, chłopcze – skomentował dziadek. – Mary poświęca nam za dużo czasu. Jest też potrzebna mamie.

Wujek Charlie pociągnął łyk kawy i przechylił się na krześle.

– A co z Matyldą? – zapytał wreszcie.

– Mary chce, żeby przyjechała do niej na weekend – wyjaśniłem. – Myślę, że Matylda się ucieszy.

– Jest środa – ciągnął wujek Charlie.

– Damy sobie jakoś radę do piątku – zapewniłem ich obu, a dziadek skinął głową.

– Nie mam teraz zbyt wiele pracy, tylko codzienne obowiązki – dodałem. – Mogę pomóc w domu.

Wujek Charlie skrył uśmiech.

– Tylko może nie z gotowaniem – zażartował.

Wyszczerzyłem zęby.

– W takim razie ty będziesz gotować, a ja zmywać – zaproponowałem, rzucając mu wyzwanie.

Wujek Charlie skinął głową.

– Umowa stoi – zgodził się.

– Jakoś damy sobie radę – podsumował dziadek. Ton jego głosu zdradził mi jednak, że miał co do tego wątpliwości. Żaden z nas nie zdawał sobie chyba sprawy, jak wiele obowiązków w naszym domu przejęła Mary.

Zgodnie z oczekiwaniami, Matylda chętnie przyjęła propozycję wyjazdu do Mary i jej mamy. Ustaliliśmy, że zawiozę ją po piątkowej kolacji.

Kiedy kończyliśmy zmywać, na dworze rozległo się ujadanie psa. Mieliśmy gościa. Znów był nim Will Sanders. Tym razem przyjechał saniami. Uśmiechnąłem się do samego siebie. Nie marnował czasu, ale dziś nie miał szczęścia. Byliśmy gotowi do wyjazdu.

Dziadek otworzył drzwi, by go powitać. Will wszedł do środka pewnym krokiem, ogarniając spojrzeniem całą kuchnię. Nie wiem, czy to sobie wyobraziłem, czy rzeczywiście tak było, ale wydawało mi się, że rozbawił go mój widok przy naczyniach.

– Co za szkoda! – wykrzyknęła Matylda. – Właśnie kończymy sprzątać po kolacji i jedziemy do Turleyów. Spędzam weekend z Mary.

– Myślałem, że Mary mieszka tutaj – odpowiedział Will.

– Bo mieszka – rzuciła szybko Matylda. – Ale w tym tygodniu pojechała na parę dni do rodziny. Rzadko tam bywa, choć jej dom leży niedaleko stąd. Josh zaproponował, żeby w końcu odwiedziła rodziców.

Matylda zakończyła swoją przemowę z cieniem dumy w głosie, jednak Will chyba nie zrozumiał, że mnie pochwaliła. Zignorował jej ostatnią uwagę i zaskoczył mnie, mówiąc:

– W takim razie pozwól, że cię odwiozę do Mary.

Zaraz, zaraz, chciałem się wciąć.

– Mój koń jest już gotowy i czeka w oborze – powiedziałem za to tak spokojnie, jak potrafiłem. – Muszę go tylko zaprząć do sań.

– Moje sanie są już zaprzęgnięte i gotowe do drogi. Nie ma sensu, żebyś wychodził na taki mróz, skoro ja mogę zawieźć Matyldę.

Ignorując mój skrzywiony wyraz twarzy, kontynuował.

– I tak chciałem się zobaczyć z Mary.

Cóż mogłem powiedzieć na taki argument?

– To bardzo miłe z twojej strony – odparła Matylda. – Josh i Chester na pewno będą zadowoleni, że nie muszą wychodzić na zewnątrz.

Nie wiedziałem, jak Chester, ale ja nie byłem zadowolony. Nic jednak nie powiedziałem. Nie było sensu się spierać.

– Jedźcie – zachęciłem Matyldę. – Ja skończę zmywać.

– Dziękuję – rzuciła w odpowiedzi, przytulając mnie niespodziewanie na oczach Willa Sandersa. Byłem zarówno

zażenowany, jak i dumny. *I co teraz, panie Sanders?* Ale nie powiedziałem tego na głos. Odwróciłem się, żeby zetrzeć ze stołu i wypłukać miednicę.

Wkrótce Matylda wróciła ze swojego pokoju z torbą w ręce i ciepłym płaszczem zapiętym pod szyję. Nawet na nich nie patrzyłem. Kiedy Matylda zawołała na pożegnanie „dobranoc!”, tylko wymamrotałem coś w odpowiedzi.

Przez cały wieczór byłem naburmuszony. Dopiero koło dziewiątej przypomniałem sobie, że Chester dalej czeka na mnie w oborze – zaprzęgnięty i gotowy do drogi. Niechętnie zapaliłem latarnię i włożyłem na siebie gruby płaszcz.

– Bardzo mi przykro – przeprosiłem konia, zdejmując mu uprząż. – Prawie o tobie zapomniałem. Chyba... chyba obaj zostaliśmy wystawieni.

Chester aż podskoczył, gdy z głośnym brzękiem zawiesiłem uprząż na haku.

Wróciłem do niego, by pogłaskać jego szyję i grzbiet. Tusz, którym kiedyś wysmarował go Jon, na szczęście zniknął już pod wpływem słońca i deszczu.

– Przepraszam, kolego – mówiłem łagodnym tonem. – Chyba jestem trochę nie w sosie. Mary wyjechała i ciężko nam się przyzwyczaić do życia bez niej. A teraz jeszcze ten chłopak przyjeżdża i zabiera Matyldę. I Mary w sumie też.

Nie wiedziałem, dlaczego koń miałby rozumieć, co do niego mówię, ale i tak rozmawiałem z nim przez następne pięć minut. Gdy wróciłem do domu, byłem dużo spokojniejszy. Uznałem, że będę mógł normalnie zasnąć.

– Chyba położę się dziś wcześniej – odezwałem się do dziadka i wujka Charliego. Nie wydawali się zaskoczeni. Obydwaj powiedzieli „dobranoc”, nie podnosząc nawet głów znad stołu, a ja wszedłem po schodach i udałem się do swojego pokoju.